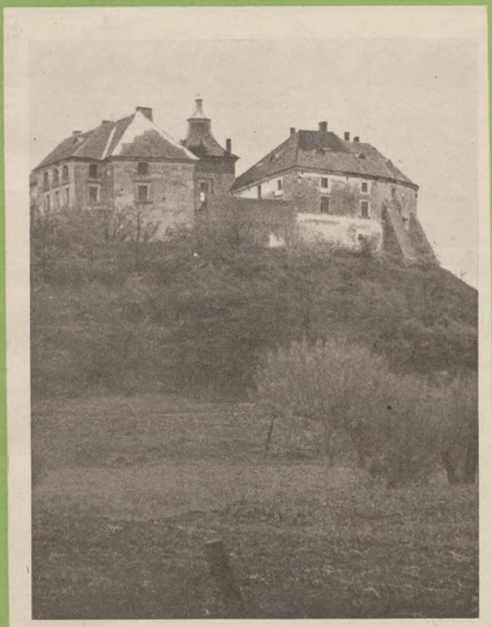
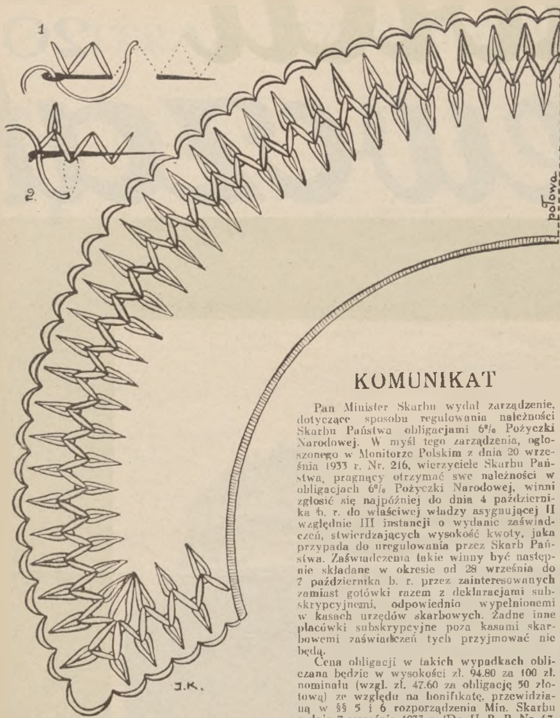
50 gr.

Świat dziewcząt

N. 20







KOŁNIERZYK DO SUKIENKI HAFTOWANY GRUBĄ WŁÓCZKĄ.

Kołnierzyk może być zrobiony z kremowego sukna lub cieniutkiej flaneli. Do granatowej sukienki wyhaftujemy go grubą, białą włóczką na kremowym materjale, do bronzowej, włóczką o jeden ton ciemniejszą, niż kremowa flanela. Kołnierzyk ten będzie odpowiedni do ciepłej, zimowej sukienki. Ściegi łatwe i bardzo szybkie w robocie tworzą wzór przez sam układ ściegów.

KOMUNIKAT

Pan Minister Skarbu wydał zarządzenie, dotyczące sposobu regulowania należności Skarbu Państwa obligacjami 6% Pożyczki Narodowej. W myśl tego zarządzenia, ogłoszonego w Monitorze Polskim z dnia 20 września 1933 r. Nr. 216, wierzyciele Skarbu Państwa, pragnący otrzymać swe należności w obligacjach 6% Pożyczki Narodowej, winni zgłosić się najpóźniej do dnia 4 października b. r. do właściwej władzy asygnującej II względnie III instancji o wydanie zaświadczeń, stwierdzających wysokość kwoty, jaka przypada do uregulowania przez Skarb Państwa. Zaświadczenia takie winny być następnie składane w okresie od 28 września do 7 października b. r. przez zainteresowanych zamiast gotówki razem z deklaracjami subskrypcyjnemi, odpowiednio wypełnionemi w kasach urzędów skarbowych. Żadne inne placówki subskrypcyjne poza kasami skarbowemi zaświadczeń tych przyjmować nie będą.

Cena obligacji w takich wypadkach obliczana będzie w wysokości zł. 94.80 za 100 zł. nominału (wzgl. zł. 47.60 za obligację 50 złotową) ze względu na bonifikatę, przewidzianą w §§ 5 i 6 rozporządzenia Min. Skarbu z dnia 7 września 1933 r. (Dz. U. R. P. Nr. 67, poz. 507). Ponieważ kasy skarbowe nie mają prawa wypłacać różnic w gotówce, zainteresowane osoby powinny żądać zaświadczeń, stwierdzających ich należności od Skarbu Państwa na sumy, pokrywające się z kwotami, przypadającemi do zapłacenia za obligację.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Szarada.

Pierwsze — drugie — trzecie, drogie i wspaniałe
Przechowuje niemal każdy Polski kątek,
Lecz na pierwszem miejscu tutaj stoją *całe*
Wśród nieprzeliczonych przeszłości pamiątek...

Świetne *piąte—trzecie* nie zawsze konieczne
Posiada je każdy przedmiot *drugi—szósty*,
I głośne fanfary również są zbyteczne,
Niech się posługują niemi rzeczy puste!...

Natomiast — potrzebne, baczne *czwarte—trzecie*,
Żeby nieustannie, z miłością czuwały!
Nad tem, co powinno być najdroższem w świecie,
Żeby nie zmarniały, nie zginęły *całe*!

Szarada.

Raz—pięć)* choć żmudna niekiedy,
Zawsze nas chroni od biedy,
Trzy niej człek lepiej się czuje
I chleb mu twardy smakuje.

A czwarta—druga, choć mała,
To jest najlepsze uznanie!
Tak jest! Szarada ta *cała*
To bardzo mądre jest zdanie!

„Junona" (Warszawa).

*) *piąta.*

NASZE SEMINARJUM

„Świat Dziewcząt", pragnąc przyjść z pomocą swoim czytelniczkom, które próbują „sił pisarskich", prowadzić będzie w dalszym ciągu dział „Nasze seminarjum". W dziale tym omawiane będą utwory czytelniczek. Prosimy o nadsyłanie prac, które czytać będziemy sumiennie, starając się wniknąć w tajemnice waszych zdolności. Będziemy surowe (dla waszego dobra), lecz chętnie dawać będziemy rady literackie, by wam ułatwić ciężką (tak!) pracę, jaką ma przed sobą każdy zdolny pracownik pióra.

Młodzieńcze lata — to czas, w którym powstaje najwięcej „pisaniny".

Zaledwie bardzo znikomy procent tych prac daje rękojmię, że z młodziutkiego autora, czy autorki wyrośnie prawdziwy — autor. Niech to nie zniechęca tych, które czują, *że powinny pisać*. Jedno tylko niech pamiętają. Pisanie — jest czemś wtórnem. Treścią utworu — jest przeżycie autora. Ono krystalizuje w umyśle twórcy pomysł literacki, który jakby fotografuje — słowa.

Słowa — które nie odzwierciadlają przeżycia — są pustą formą. Znamy i takie utwory. Tu coś posłyszano — tam przeczytano — przerobiono trochę — i jest utwór. Lecz jakaż jest jego wartość?

— Najwyżej niezłym stylem spreparowana „pisanina". Pomyślmy o buchających ogniem słowach Mickiewicza, Słowackiego — o prozie Żeromskiego, Prusa — której każde słowo żyje duchem, z której bije treść, piękno, uczucie. Te słowa żyją — bo utwór, zanim został napisany, żył w umyśle autora.

Kochane, młodziutkie pisarki! Przesyłajcie nam tylko takie prace, które przemyślałyście i przeżyłyście z niemi cudowny moment budowania z wrażeń i z wzruszeń — treści utworu. Płytkość, powierzchowność nie da nic w tej dziedzinie — najwyżej poprawny styl. A to wbrew pozorom jest najmniej ważne. Większą radość da nam chropowaty w stylu utwór, w którym widać będzie myśl, odczucia i wrażliwość twórcy — niż wylizany pseudo - klejnocik, będący reminiscencjami przeczytanych utworów, zasłyszanych rytmów, skojarzeń słów. Takie „echowe" prace nie dają nic nowego — nic nie wnoszą; nie wywołują u czytelnika tego wstrząsu psychicznego, jaki odczuwamy, czytając słowa, wyrażające prawdę przeżyć autora. Starajcie się pisać *jak najprościej*. Tak, jak myślicie. Wówczas każda stworzy *styl własny*. Niech się go nie boi. Jeśli ma talent — ta nowość wzbogaci naszą literaturę.

O to prosimy. My ze swej strony całem sercem cieszyć się będziemy z każdego objawu waszych zdolności. Utwory będą szczegółowo badane metodą uniwersytecką i omawiane w dziale „Nasze seminarjum". Najlepsze wydrukujemy w dziale „Wasza stronica".

Redakcja.

COŚ SMACZNEGO

— *Pomidory, pomidory...*

Słyszycie to nawoływanie na ulicach, kiedy idziecie, lub wracacie ze szkoły. Widzicie pomidory, spiętrzone za oknami wystaw sklepowych, na wózkach lśniące, barwne. Tak chętnie zrywacie z krzaka, o ile wyhodowałyście je na balkonie, w ogródku lub na zagonie.

Spróbujcie.

Pomidory na surowo.

Dojrzały pomidor umyć, wytrzeć, posolić (lub nie, jak kto lubi) i jeść w ręku, jak jabłko. Pyszny!

Sałatka z pomidorów.

Umyć dojrzałe, twarde, nieduże pomidory. Krajać na cienkie, równe plasterki wzdłuż, odrzucając „przylepkę". Układać równo na półmisku szklanym lub porcelanowym, plasterek za plasterkiem, jedną warstwą i rzędem. Osolić do smaku, popieprzyć, zacisnąć cytryną (lub octem doskonałym) i polać po wierzchu oliwą. Szykować najwyżej na pół godziny przed podaniem. Jeżeli ktoś lubi cebulę, kraje się ją w cieniutkie krążki i przybiera sałatkę po wierzchu.

Sałatka z pomidorów z ogórkiem kwaszonym.

Pomidory pokrajać w plastry. Tak samo w plastry pokrajać ogórek kwaszony. Układać na półmisku plaster ogórka na zmianę z plastrem pomidora. Nie doprawiać niczem. Najwyżej posolić pomidory i ubrać cebulką.

Pomidory z mizerją.

Duże pomidory umyć, skrajać wierzch, wydrążyć. Pokrajać surowe ogórki w drobną kostkę. Osolić na chwilę, odcedzić, zaprawić śmietaną z cukrem (szczypta), zaciśniętą cytryną. Doskonale wymieszać. Napełnić mizerją pomidory, ułożone na okrągłym półmisku jeden obok drugiego. Zalać powierzchu śmietaną, przygotowaną, jak do mizerji. Doskonale!

Rok I. Warszawa, dnia 1 października 1933 r. Nr. 20



JA I ŚWIAT

Zdawałoby się, że między temi pojęciami niema pomostu, że — ja, — ten mikrokosmos, jak to można określić, żyje zupełnie odrębnem życiem, odgrodzonem od całego świata murem małych spraw, z których każda jest dla mnie najważniejszą. Wszelkie zaś wielkie moce przewalają się i głębią gdzieś tam, poza mną, przesyłając tylko moim uszom nastawionym na delikatne szmery własnego serca — dalekie echa.

A jednak te echa, gdy się w nie wsłuchać, jakie są dla nas ciekawe, pociągające, jak stają się bliskie, jak łatwo rozwalają mur, który odgradza nasz mikrokosmos od innych, jemu podobnych, a także od tego wielkiego tajemniczego świata.

I czy to będzie współczucie dla przyjaciółki [1], czy poczucie przynależności wewnętrznej do swojej klasy [2], do swojego miasta [3], czy rozkoszny skurcz serca przy słowie — Ojczyzna [4]) czujemy mocno, czujemy, że daleki, obcy świat związany jest z nami tajemniczemi nitkami uczucia i obowiązku.

Słowo — Ojczyzna — ma już dla nas swoją barwę. Znamy dobrze wzruszenie z niem związane, jak i obowiązki, które za sobą pociąga. Cały świat, jeżeli pewnego dnia zechcemy pojąć go uczuciowo, nazwać możemy krótko — Ludzkością.

Oczywiście nie wszystko będzie można zawrzeć w tem słowie, dużo jeszcze pozostanie poza jego granicami, ale nie martwmy się, poza granicami serca napewno nic już nie pozostanie, jeżeli pojęcie Ludzkość pojmiemy dość głęboko.

Nawet nie trzeba zaczynać odrazu od wielkich rzeczy, od zagadnień o dużym ciężarze gatunkowym.

Wystarczy potępić w sobie w porę, nawet cicho, bez słów, jakiś nieokreślony, głupi odruch nienawiści, przydusić słowem — sprawiedliwość i potem rozpatrzeć wszelkie za i przeciw; wystarczy niekiedy zapalić w sobie iskierkę gorącego uznania dla czegoś, co nie jest takie zupełnie nasze, jedynie, ze względu na to, że mu jest na imię Dobro: wystarczy...

Przykładów takich może być i tysiąc i miljon i biljon nawet. Nasuwa nam je życie, biją w oczy z każdej stronicy mądrego i rozsądnego pisma.

Każdy czyn społeczny, choćby najdrobniejszy, każde 5 groszy składki, każde nowe łóżko w szpitalu, to już otwarcie okna na szeroki świat, to już otwarcie serca na wielkie ogólno-ludzkie sprawy.

Czy to jednak nie zaprzecza postulatom potrjotyzmu — może rzucić zasadnicze pytanie niejedna z czytelniczek.

Nie. Miłość Ojczyzny to coś potężniejszego, aniżeli świadomość, że należy się do jednej wielkiej rodziny — Narodu. Między Narodem a Ludzkością istnieje bardzo ścisły związek, bo czemże jest Naród, jeżeli nie cząstką Ludzkości. A jeśli źle pojęty, fałszywy, spaczony ciasnotą horyzontu, patrjotyzm przemienia się w szowinizm, to poczucie, że jest się przedewszystkiem człowiekiem, reguluje tamten, krzywo wyrosły entuzjazm, normuje, zbliża do Prawdy.

Z patrjotyzmu przecież powstają wielkie Czyny, patrjotyzm jest tym motorem, który każe pracować nie tylko dla kraju, ale i dla całej Ludzkości: z patrjotyzmu

[1]) Patrz — Najbliższe serce Nr 5 „Świat Dziewcząt".
[2]) Patrz — Drogi codzienne Nr. 10 „Świat Dziewcząt".
[3]) Patrz — Ja i cała klasa Nr. 6 „Świat Dziewcząt".
[4]) Patrz — Święta Miłości — Nr. 11 „Świat Dziewcząt"

z miłości Ojczyzny i dumy narodowej wyrasta, olbrzymieje zespolenie się uczuciowe z każdą ludzką jednostką i to coś, co każe nam entuzjazmować się czynem generała Balbo, pochylić nisko głowę przed wiedzą Edisona i opłakiwać tragiczną śmierć litewskich lotników.

Tak, te i tym podobne sprawy stoją już poza granicami spraw narodowych i rasowych; te i tym podobne sprawy należą do całej ludzkości tak, jak dziś do całej ludzkości należy praca naszej genjalnej rodaczki Curie-Skłodowskiej.

Jesteśmy dumni, że jest ona Polką tak samo, jak z dumą dowodzimy Niemcom, że Kopernik był napewno Polakiem i że Nietche pochodził z polskiej rodziny. Ale to nie jest najważniejsze, o nie! Najważniejsze jest to, co dali światu ze swej mądrości, nauki i talentu i z tego punktu musimy na nich patrzeć.

Gdy tak podejdziemy do tych spraw, gdy wnikniemy w nie głębiej, doznamy uczucia, że oto zachłysnęliśmy się świeżem, balsamicznem powietrzem przestrzeni.

Tak, my i świat — dwa pojęcia bardzo niewspółmierne, a jednak przedziwnie sobie bliskie.

Ciągną się nici od naszego serca, poprzez rodzinę, gdzie na ulicach obcych miast, nad brzegami rzek, o dziwnych poplątanych nazwach, których nawet wymówić nie można, na ziemiach, pachnących nieznanemi kwiatami, wszędzie można spotkać Brata — Człowieka.

Trzeba mu zawsze podać pomocną dłoń w najszerszem tego słowa znaczeniu, nie wolno go nienawidzieć, a jeśli niema w naszem sercu miejsca na miłość, niechże zawsze będzie na sprawiedliwość.

O tem przedewszystkiem musimy pamiętać, my młodzi, którzy uczymy się przyszłego życia dla swego kraju, w czyich rękach będzie wkrótce spoczywała przyszłość i... honor Polski.

Uczmy się kochać naszą Ojczyznę, a przez nią i cały wielki nieznany Świat.

Zawiślanka.

SERCE KRÓLA JANA



Gorące, krwi pełne, heroiczną tętniące arytmią, było to serce przez lat dziesiątki istotnem sercem Polski. Gdy bić przestało w skołatanej bólem piersi, gdy złożono je zapomniane i opuszczone w głuchej krypcie Kapucynów, nastał mrok i bezwład wielkiego ciała Rzeczypospolitej. Gdy tylko naród począł budzić się z letargu, przywoływał, nieomylnym wiedziony instynktem, wielki cień króla Jana.

Biały posąg w Łazienkach, wzniesiony staraniem ostatniego króla, tak bardzo odmiennego, a właśnie może dlatego wielbiącego mężnego swego poprzednika. Szabla, odnaleziona w Loreto, w rękach Dąbrowskiego i Kościuszki urastająca do symbolu wolnej i triumfującej ojczyzny. A kiedy Sienkiewicz snuje epopeję „ku pokrzepieniu serc", stawia na jej zakończeniu, jak posąg, postać promienną *„Salwatora"*.

Dzisiejsze badania historyczne przyznają Sobieskiemu wielkie zdolności strategiczne a genjusz wodza rehabilituje jego politykę, tak ostro krytykowaną w niedawnych jeszcze czasach.

Wszystko to jednak nie tłumaczy nam uroku człowieka, który znalazł wyraz w koronie, wieńczącej czoło szlachcica. Niedawno jeszcze był młody rycerz bujnym i hucznym zawadjaką, któremu niedowierzała surowa jejmość matka, którego ukochana Marysieńka nazywała półżartem, półserjo, w swoich makaronicznych listach *„un niedobrego"*.

Aż tu nagle taki orli lot. Podhajce — Chocim.

Jęk uciśnionego kraju obudził głos serca w prawnuku Żółkiewskiego.

Sobieski był nieodrodnym synem swej „najbliższej ojczyzny": Podola i Czerwonej Rusi, ziemi, gdzie słońce jest cieplejsze i krew gorętsza w sercach.

Urodzony w orlem gnieździe, usłyszał zamiast pierwszej kołysanki zmieszane z hukiem burzy, groźne wycie najezdniczych hord, pustoszących tę krainę mlekiem i miodem płynącą, aż z niej czarne pozostawały zgliszcza.

Jak niegdyś Jeanne d'Arc wzięła w serce cały niewysłowiony ból deptanego narodu: *„la grande pitié du royaume de France"*, tak samo młody hetman odczuł synowskiem uczuciem niedolę swojej ziemi. Od tej chwili stał się jej obrońcą i sługą, a służba to była ciężka. ... *„Oczu zamrzeć nie mogę od srogich myśli, które mnie tak turbują, że ledwo krwawy pot ze mnie nie wychodzi"*.

Nie dziw! Nie raz ale przez długie lata stał przeciw wrogiej nawale sam jeden, rzucały mu kamienie pod nogi niechęć królewska i szlachecka. Nadomiar wzrok miał przez intuicję serdeczną wyostrzony i widział to, czego nie chcieli dojrzeć współcześni: widmo klęski i ostatecznej zagłady, tak samo jak Skarga. Za sobą miał tylko ubogą czerń prostych żołnierzy: „niebożęta", chłopów, mieszczan, tych wreszcie, którzy blisko niego stali i „jak jakie szczenię" legali przy jego łożu. Ci widzieli, jak wódz na wyżywienie wojska „ostatnią zostawiał koszulę", „za wszystkich pracował", „jeden za tysiące cierpiał", sam „na szańce ochotnie swe zdrowie kładł". Serce jego biło w całym szyku bojowym, magnetycznemi skutym słowy: „Ja, hetman, będę przy was, współtowarzysze!"

Jakże było nie zwyciężyć z takim wodzem? Po zwycięstwie podhajeckiem mógł nie bez pewnej melancholji stwierdzić:

„Już teraz wszyscy aż nazbyt we mnie się kochają".

Tajemnicą czaru była dobroć, nawet w szale boju, dobroć dla słabych, dla zwyciężonych, dla kobiet i dzieci.

W uczuciu tem była wielkość, ale kryło się też i źródło słabości. Bo gdy rozmiłował się bohater w owej „jedynej, wybranej, najśliczniejszej", to już i świata za nią nie widział.

A „królowa serca", Marysieńka, nie była warta tej wielkiej miłości.

To była tragedja życia króla Jana, to było rozdarcie jego serca i smutek zachodu heroicznego życia. Między wodzem a narodem stanął cień cudzoziemki, małej, oschłej, kupieckiej duszy kobiecej. Marja Kazimiera postępowaniem swem dała obraz najdoskonalszy, jaka *nie powinna* być towarzyska wielkiego człowieka.



Królowa Marja Kazimiera.

„Konsolacji znikąd" nie miał Sobieski w swoich nadludzkich nieraz trudach i potrzebach wojennych. Wyczuwał to nieraz boleśnie.

— „Racz moja panno moment pomyśleć nad tem — pisze hetman do żony w r. 1668 — i być nad sobą sprawiedliwym sędzią. W tych tak ciężkich utrapieniach czy dałaś mi też Waszmość moje serce, słowo kiedy dobre, prosząc mię, żebym się nie frasował, jako czynią wszystkie kochające żony? Nigdyż moja panno! I owszem, gdym się najbardziej trapił, to mi W-ć najgorszą pokazywała twarz".

Raz wyrwała się z pod pióra męża krytyczna ocena zachowania się żony, ale jeden jej uśmiech wystarczył, aby po zwycięstwie pod Podhajcami np. pisał, że triumf i zwycięstwo nie dały mu „najmniejszej pociechy ani wesołości, ponieważ żadnej dla mnie nie znajdzie się na ziemi, kiedy nie patrzę na to, co jest życiem mojem, gdzie serce i wszystka myśl moja".

Szczęściem, że serce Jana było dość wielkie, aby obok trawiącej je miłości dla swojej „złotej panienki" płonąć czystym i ofiarnym ogniem dla Matki-Ojczyzny i narodu, który je nieraz goryczą napoił i boleśnie zranił.

W dniach niewoli zwróciło się znów uczucie narodu do jasnej postaci serdecznego króla. Był on przecież jak złoty dzień jesienny w przededniu długiej szarej zimy. Cały splendor polskiego męstwa, cała możliwość energji rasy błysły raz jeszcze w ciągu jego zwycięskich bojów, a uwieńczył je pochód pod Wiedeń półtrzecia wieku temu.

Przez kraj „cudownie wesoły", przez ozłocone słońcem winnice i sady szło uosobione w królu- wodzu i jego skrzydlatych rycerzach serce Polski.

Że się spotkało z niewdzięcznością, to nie umniejsza waloru czynu samego w sobie.

Serce narodu, serce króla biło w takt jeden przez tę niezapomnianą dobę.

Serce-to bohatera wielkie i gorące, spoczywa między nami. Cicha kaplica Kapucynów mroczna jest i jakby zapomniana. Godziłoby się bodaj w dnie *rocznicy* i pamięci osypać ją kwiatami, bo serce, które tam spoczywa, to było przecież: *„Serce krwi pełne ,co miłości żąda"*.

K. Bielańska.



Teofila Sobieska, Kasztelanowa Krakowska

NASZA OKŁADKA

Dziś chcemy pokazać naszym Czytelniczkom ruiny zamku w Olesku wpobliżu Złoczowa. Olesko jest obecnie na wszystkich ustach, bo tam właśnie przyszedł na świat w roku 1629 król Jan Sobieski

Dziś w Olesku oprócz murów nic nie zostało z dawnej świetności Daniłowiczów, Żółkiewskich i Sobieskich. Dopiero niedawno wobec zbliżających się uroczystości Sobieskiego przystąpiono do restauracji starego zamku, aby naprawić to, co zniszczył czas i ludzie.

Obecnie w lewem skrzydle zamku znajduje się żeńska szkoła rolnicza. Sale wykładowe i mieszkalne mieszczą się w odnowionej już części zamku, odnowionej jednak bez koniecznego pietyzmu dla jego szanownej przeszłości.

Z. M.

TWORZYMY POLSKĘ

POŻYCZKA NARODOWA „WŁASNEMI SIŁAMI"

W chwili, kiedy „Świat Dziewcząt" dojdzie do waszych rąk, będziemy już wiedzieli, ile miljonów zł. podpisano na pożyczkę narodową. Wiadomość to bardzo ważna, bo od powodzenia pożyczki zależy dobrobyt naszego kraju, a więc wszystkich jego mieszkańców. Trzeba to dobrze zrozumieć i umieć wytłumaczyć tym, którzy nie zdają sobie z tego sprawy, że państwo nie jest czemś oderwanem od swoich obywateli, ale jest ich wspólnem dobrem, a bezpieczeństwo i dobrobyt państwa — gwarancją dobrobytu i bezpieczeństwa każdej rodziny i każdej jednostki.

Jesteście przecież dość dorosłe na to, żeby zrozumieć, że tak wielki Dom, jak Polska, wymaga wielkich zasobów na jego prowadzenie. Trzydzieści miljonów mieszkańców — to nie bagatela! Żeby każdemu zapewnić opiekę prawa, dać możność kształcenia się, żeby dla wszystkich wybudować koleje, drogi, utrzymać pocztę, żeby wszystkich zabezpieczyć na wypadek choroby, starości, czy niezdolności do pracy, żeby wreszcie obronić ten Dom przed obcymi, trzeba bardzo dużo pieniędzy. Pomyślcie tylko: dla trzydziestu miljonów ludzi!

Pieniądze na te wydatki czerpie państwo z podatków i z dochodów przedsiębiorstw, jak monopole, koleje, poczta i t. d. Kiedy obywatelom dzieje się dobrze — podatki napływają równomiernie i w państwie dzieje się dobrze. Ale kiedy zaczyna się obywatelom dziać gorzej — gorzej dzieje się państwu.

Jednem słowem dobrobyt państwa jest ściśle związany z dobrobytem nas wszystkich. I odwrotnie. Więc któż, jak nie państwo, ma prawo zwrócić się o pomoc do obywateli wtedy, kiedy mu się zaczyna gorzej dziać? Ta pomoc zresztą to właściwie przecież *samopomoc*, bo, dopomagając państwu — dopomagamy sobie.

Przecież każdy złoty, podpisany na pożyczkę narodową przez naszych rodziców i znajomych wróci do nich i do nas w postaci nowowybudowanej szkoły, wypłaconej pensji, czy emerytury, naprawionej szosy, rozbudowanej sieci kolejowej, udoskonalonej broni dla wojska, w postaci samolotów, tanków, pożyczki bankowej i t. d. Te wszystkie złote wrócą zresztą do nich po dziesięciu latach jeszcze nawet jako ich własne, niepodzielne złoto, bo za dziesięć lat państwo pożyczkę spłaci.

Gdyby wszyscy to zrozumieli — pożyczka nie byłaby dla nikogo ciężarem. Trzeba na nią 120.000.000. W Polsce mieszka 30.000.000 ludzi. Na każdego przypada więc po 4 złote. Ale nie każdy te cztery złote zapłacić może (dorośli płacićby musieli za siebie i za dzieci!) i nie każdy chce. Pożyczka spadnie więc na tych, którzy lepiej rozumieją interes państwa i interes swój.

Ten nierównomierny rozkład ciężaru sprawi, że dla niektórych z nas pożyczka będzie naprawdę pewnego rodzaju ciężarem przez sześć miesięcy, kiedy trzeba ją będzie spłacać.

Dobrze — ale jaka nasza w tem rola? O, i bardzo wielka!

Będziemy musiały i my wyrzec się czegoś na rzecz pożyczki narodowej. Może kina, może nowego mundurku, sukienki, może nawet — karty tramwajowej? Bo z pewnością dla niejednej rodziny podpisanie pożyczki narodowej jest pewnego rodzaju ofiarą, ofiarą złożoną z poczuciem obowiązku, ofiarą złożoną chętnie — ale zawsze ofiarą.

Otóż rola wasza polega na tem, żebyście swoje „role" w pożyczce narodowej odegrały tak, jak przystoi dzielnym, współczesnym dziewczętom. Żebyście nie utyskiwały, że teraz w domu, może będzie z groszem trochę ciężej. Przeciwnie! Powinnyście być dumne, że właśnie wasi rodzice zrozumieli swój obowiązek i zrobili to, co każdy Polak zrobić powinien. Dla swego i wspólnego dobra.

Kiedy się buduje dom, każdy szczegół jest ważny i potrzebny. I plan budowy, i materjał, i umiejętność pracy i nastrój, w którym się pracuje. Plan pożyczki ułożyli ci, którzy wiedzą i rozumieją, w jaki sposób trzeba podeprzeć nasz Wspólny Dom — Polskę. Materjał na tę budowę, pieniądze, dają ludzie dorośli. Wy wniesiecie do tego dzieła pogodę, która czyni pracę lżejszą i wierzajcie mi, wydatniejszą.

A po latach, kiedy będziecie dorosłe i weźmiecie bezpośredni udział w tworzeniu Polski — wspomnienie, żeście robiły to już oddawna, kiedy nikt od was tego nie żądał — będzie dla was jednem z najmilszych wspomnień!

Z. P.

ZA PROGIEM SZKOŁY

PANI SĘDZIA

Cała sprawa zaczęła się jeszcze kilka lat temu, kiedy Jagienka była w IV-ej klasie. Uczyła się kiedyś lekcji przy oknie (jak dziś pamięta, że to była historja), gdy nagle usłyszała ostre okrzyki, dochodzące z sutereny.

— Znowu Walentowa bije Stefkę — pomyślała i zatkała uszy, aby nie pogubić wątłych i tak zainteresowań dziejami Babilonu.

Krzyki się jednak wzmagały, rosły, aż runęły już zupełnie głośne i wyraźne na środek podwórka w osobie Walentowej, rozkrzyczanej, zapłakanej i tarmoszącej zajadle bladą, przerażoną Stefkę.

— Nigdy w naszej rodzinie nie było złodziei, a tu nagle taka krzywda, taka hańba na stare lata — krzyczała kobieta ochryple przez łzy — żeby mi rodzone dziecko krwawo zapracowany grosz z pod poduszki wyciągało, o Jezu Jezu.

Stefka znosiła wymyślania i razy matki z milczącą wzgardą. Ani jedno słowo nie padło z jej zaciśniętych boleśnie ust i nikt z pośród zebranego naokoło tłumu ciekawych nie mógł wywnioskować, czy Stefka uważa się w głębi duszy za winną, czy za ofiarę.

Jagienka znała Stefkę oddawna, dużo o niej wiedziała i pomimo jej licznych wad lubiła serdecznie. Nie miała pojęcia naco Stefce były potrzebne pieniądze, ale współczuła jej na zapas i poprostu serce jej zamarło w przerażeniu, gdy wśród tłumu zabłysła nagle granatowa czapka policjanta.

Kumoszki rozstąpiły się z szacunkiem, a Walentowa przyjęła „władzę", jak archanioła wybawiciela.

Nie, tego było stanowczo za dużo dla Jagienki. Zbiegła corprędzej na dół, aby ratować przyjaciółkę od więzienia, kary i wszelkiego rodzaju okropności.

Uprzedził ją już ktoś jednak, bo oto w tłumie stała młoda, elegancko ubrana pani, która tłumaczyła coś policjantowi, słuchającemu jej z niewytłumaczonym dla obecnych szacunkiem.

— Aha — Jagienka już wiedziała, kto to jest, to panna Janka z drugiego piętra. Skończyła niedawno prawo, a teraz „uczy się na adwokata", jak mówiła jej pokojówka do stróżki w czasie wieczornych sesyj przed bramą.

— Ja sama pójdę z małą do pani Grabińskiej — zakończyła panna Jan-

ka swą przemowę do granatowej czapki i te kilka prostych słów jakby zlikwidowały odrazu awanturę. Tłum się rozszedł, na podwórzu została tylko pochlipująca Walentowa, blada i ciągle milcząca Stefka, oraz one dwie: panna Janka i Jagienka. Odrazu poczuły się sojuszniczkami, zadzierzgnęła się między niemi wspólna nić współczucia dla winowajczyni.

Poszły więc ją snuć dalej, na drugie piętro do pokoiku panny Janki i tam postanowiły, aby obydwie razem iść nazajutrz ze Stefką do sądu dla nieletnich, do pani Grabińskiej.

Takie było pierwsze zetknięcie się Jagienki z sądem dla nieletnich i chwila ta, któżby to przypuszczał, miała decydujący wpływ na jej życiowe postanowienia. Tak, małe ziarenko współczucia dla Stefki, chęć niesienia jej pomocy to były pierwsze zalążki uczuć społecznych, jakie rozwinęły się potem w Jagience, na której sprawa Stefki zrobiła ogromne wrażenie.

Nie to było ważne, że Stefka ukradła pieniądze, aby kupić sobie jakąś cudną książkę z obrazkami, którą widziała na wystawie, nie to, że Walentowa była potem wzywana do sądu, skąd wróciła zapłakana, ale uspokojona.

Ważną rzeczą było to, że w sądzie zrozumiano miłość do książek, że dano jej ich kilka do przeczytania, pod warunkiem jednakże, że już nigdy w życiu nie ruszy cudzych pieniędzy.

Stefka przysięgła uroczyście i można było być pewnym, że słowa dotrzyma.

Potem Jagienka często zachodziła ze Stefką do sądu z początku ze współczucia, a potem z ciekawości.

Poznała panią Grabińską i jej następczynię, panią Kamińską i w długich rozmowach z niemi dowiedziała się masy ciekawych rzeczy, co wraz z zainteresowaniami społecznemi dziewczynki stało się podwaliną jej przyszłych postanowień.

Gdy przebrnęła szczęśliwie przez maturę, odrazu zdecydowała: idę na prawo, aby potem zostać sędzią dla nieletnich.

Nie, to nie było znowu takie proste, trzeba było przez cztery lata studjować prawo na uniwersytecie, potem przejść przez 3-letnią bezpłatną aplikanturę sądową, a wreszcie, na zakończenie zdać trudny egzamin sędziowski.



Stefka przysięgła uroczyście.

Potem już się czekało na pracę i, niestety, trzeba przyznać, że czekało się dosyć długo.

Po dwóch latach zyskała płatną asesurę, czyli otrzymywała przeszło 200 złotych miesięcznie.

Pierwszym stopniem w karjerze była bezpłatna asesura, która trwała dwa lata. Jagienka tkwiła po sam, zgrabny zresztą nosek, w stertach przeróżnych papierzysków, które nosiły szumne nazwy wyroków, protokólów i tak dalej. Praca była ciężka tylko czasem, między jedną a drugą sprawą, mogła zamienić kilka nieoficjalnych słów z sędzią Kamińską, która zawsze była gotowa dać jej dobrą radę lub rzucić kilka słów, wyjaśniających zawiłą sprawę.

Na tej asesurze siedzi dziś jeszcze i choć ma małą pensję, choć stopnie karjery sędziowskiej dla niej, jako dla kobiety, są trudne do zdobycia, uśmiecha się ciągle pogodnie.

— Gdy zostanę sędzią — mówi, — będę zarabiała około 400 złotych, ale zawsze, tak zawsze będę mile wspominała te dzisiejsze czasy, które są nie tylko szkołą życia dla mnie, ale dają mi świadomość, że jestem pożyteczna, niezastąpiona, konieczna właśnie jako kobieta, która dochodzi do dziecka najbliższą drogą — przez intuicję.

Zofja Miszewska.

ENCYKLOPEDJA „ŚWIATA DZIEWCZĄT"

7. *Vae victis!* Dosłownie: biada zwyciężonym. Słowa te powiedział Brennus do Rzymian, rzucając miecz na wagę, na której odmierzano złoto, mające być zapłatą Gallom za odstąpienie od Rzymu. Używamy tego wyrażenia, kiedy chcemy powiedzieć, że zwyciężony jest na łasce zwycięzcy.

8. *For ever!* Dosłownie: Nazawsze. Zawołanie, często używane w Anglji. Ma to samo znaczenie, co polskie: „sto lat".

9) *Cave canem.* Dosłownie: Strzeż się psa. Wyrażenie łacińskie, umieszczone u starożytnych Rzymian nad wejściem do domu.

10) *Ad calendas graecas* — dosłownie: do greckiego kalendarza. Wyrażenia tego używamy, kiedy chcemy zaznaczyć, że rzecz jakaś odkłada się na czas nieograniczony.

11) *Punica fides* — dosłownie: wierność punicka. Rzymianie zarzucali Kartagińczykom wiarołomstwo i zrywanie umów i używali tego wyrażenia w znaczeniu ironicznem. I dziś mówimy *punica fides*, chcąc zaznaczyć nieufność do kogoś.

12) *Mehr Licht!* Dosłownie: Więcej światła. Wyrażenie niemieckie. Podobno były to ostatnie słowa wielkiego poety niemieckiego, Goethego. Używamy tego wyrażenia, kiedy chcemy powiedzieć, więcej nauki, prawdy, światła intelektualnego.

DON KICHOT





Czy warto pójść na film, w którym niema szczerzącego zęby Brodzisza, ani „czarującego chłopca" Garat'a, ani pięknego Ramona?

Przyzwyczaiłyśmy się mierzyć wartość filmu miarą wielkości występującej w nim „gwiazdy", zapominając, że słońcem filmu jest — rezyser.

Ale czy my wiemy coś o reżyserach? Czy pamiętamy choć jedno nazwisko takiego pana, który nie tylko tworzy film, ale tworzy również — „gwiazdy"? Czem byłaby naprz. Marlena Dietrich, gdyby nie Sternberg, który poznał się na jej talencie i pokazał ją światu? Byłaby małą, nieznaną aktoreczką. Albo znakomita gwiazda niemego ekranu Liljana Gish (jeżeli która z was słyszała o niej), czem byłaby, gdyby nie Griffith, twórca słynnych w swoim czasie „Dwóch sierot"?

Reżyser jest duszą filmu. On potrafi stworzyć arcydzieło z najbłahszej historyjki i on może z arcydzieła zrobić t. zw. „kicz". Dlatego też przerabianie na film arcydzieł literackich jest takie niebezpieczne. Czasem powstaje z tego dobry film, ale nie można w nim poznać pierwowzoru; czasem cierpi na takiej przeróbce i autor i film; a tylko w rzadkich wypadkach film dorównywa, pod względem artystycznym, książce, to znaczy oddaje



wiernie myśl autora w interpretacji filmowej, wyrażając treść wartościami wizualnemi, (odpowiednie połączenie wizji i ruchu), nastrojowemi i akustycznemi utworu.

Do takich nielicznych dobrych przeróbek ekranowych dzieła literackiego należy „Don Kichot" Cervantesa w realizacji Pabsta. Należy zaznaczyć, że Pabst jest nie tylko jednym z najlepszych światowych reżyserów, ale że w swej twórczości filmowej reprezentuje pewną ideologję: jest pacyfistą wierzącym w braterstwo ludów i możliwość ich współpracy dla dobra całej ludzkości *). Nic dziwnego więc, że właśnie Pabsta zainteresowała postać rycerza z La Manczy, który na tle swego otoczenia, myślącego jedynie o wartościach materjalnych, wydaje się dziwakiem i [illegible], a który przecież nosi w sobie wizję jakiegoś innego świata, lepszego i piękniejszego, w którym niema miejsca dla krzywdy i niesprawiedliwości, gdzie na straży cnoty i honoru stoją waleczni rycerze i piękne damy ich serca. W każdej epoce, w każdem pokoleniu nawet są ludzie, odważający się wyjść choć w marzeniach, poza ramy przyziemnej codzienności, ludzie tworzący ideał jakiejś piękniejszej rzeczywistości i będący dzięki temu w wiecznym konflikcie z otoczeniem, uważającem ich za śmiesznych manjaków i szaleńców. Dlatego też Don Kichot, choć pozornie został pokonany, a księgi jego — spalone, żyje wiecznie w coraz to innej formie.

Zasługą Pabsta jest to, że nie zniekształcił i nie zaprzepaścił myśli Cervantesa, że nie starał się przytłoczyć jej różnemi „trickami" technicznemi, do których kino daje tyle możliwości, że nie puścił wodzy fantazji, która może uczyniłaby widowisko efektowniejszem, ale w której mógłby zginąć — Cervantes. Pabst potraktował wszystkie przygody Don Kichota ściśle realistycznie, t. j. tylko od tej strony, od jakiej przedstawiają się one jego otoczeniu (a mógł pokazać je tak, jak się przedstawiały Don Kichotowi, a więc wiatraki jako olbrzymy, dziewkę od krów jako Dulcyneę i t. d.). Zato w tym realizmie dał maksymum artyzmu pokazując nam Hiszpanję nie operetkową (kastanjety, wysokie grzebienie, tańce i śpiewy), lecz prawdziwą Hiszpanję ówczesną, poważną i surową z jej ponurym, pustynnym krajobrazem (Kastylja) i rubasznym humorem. Najpiękniej ujęta jest scena walki z wiatrakami i — śmierć Don Kichota. Należy podkreślić wysoce artystyczne zdjęcia, tworzące piękne obrazy (wiatraki, kamienista pustynia i w. in.).



Godnym współpracownikiem Pabsta okazał się Teodor Szaliapin, słynny śpiewak operowy, który tutaj olśniewa swym kunsztem aktorskim. Jego Don Kichot jest naprawdę wspaniały: niby śmieszny, ale jakże przytem bohaterski, pełen brawury i — tragizmu. Ciekawie pomyślany jest początek i koniec filmu. Pierwsze sceny to wizje rycerzy z książeczek, ożywione ilustracje starych ksiąg: księgi te zostają na końcu spalone, ale z popiołów powstają karty — nowych ksiąg. Czy stos ten nie przypomina nam innego stosu, na którym na rozkaz Hitlera spalono książki najznakomitszych pisarzy niemieckich?

Książki zamieniły się w popiół, ale zawarte w nich myśli żyją i zapłodnią nie tylko nowe księgi, ale może i — odrodzą serca zatwardziałe w nienawiści.

St. H.

*) „Don Kichot" realizuje ten ideał oczywiście w minjaturowej skali. Dzieło Cervantesa, Hiszpana, przerobione jest na scenarjusz przez Paul Morand'a, znanego literata francuskiego; sam Pabst jest Niemcem (dzisiaj źle widzianym w swej ojczyźnie), główną rolę gra Szaliapin, Rosjanin. Film został wykonany przez wytwórnię francuską.

MARJA OLSKA

FOUND

NOWELA

(Dokończenie)

Kid obserwował go w zamyśleniu. Szare jego oczki znieruchomiały i znać było. że zastanawiał się nad czemś, co długo rozważał, aż wreszcie zdecydował. iż takie psie figle trzymają się zazwyczaj młodych. Gotów był założyć się o „Czarodziejkę", że czuje w tem rączkę Jima.

Bess w milczeniu spojrzała na niego z pobłażliwą pogardą i wróciła do mieszkania.

Wielkiemi krokami chodził Blake po werandzie, miotany gniewem. Jego ciemne oczy zalśniły złowrogo, gdy ujrzał Jima wchodzącego po schodkach. Stanął przed nim i, wymachując mu papierem przed nosem, krzyknął:

— To twoja sprawka, nieponiu, twoja sprawka! Choćbym miał tu zostać, ciebie nie zatrzymałbym ani godziny, ale dla takiego Kida dobrym będziesz kompanem.

Found, widząc list w ręce gospodarza, niechętnie spojrzał na Kida, który wyglądał, jakby czemprędzej chciał się oddalić. I rzeczywiście, pożegnał się zaraz i odjechał główną drogą. Jim odszedł również, ani słowa nie rzekłszy na swoje usprawiedliwienie.

Blake zamruczał przekleństwo i zmięty papier rzucił na żwir. Nagle przypomniał mu się most kamienny, który już zeszłego roku wymagał naprawy. Jeśli woda podniesie się jeszcze i rozłupie go w kawałki, to przed północą poczta nie dostanie się na ich brzeg, a nikt nie odważy się teraz przepłynąć przez rzekę nawet za dużem wynagrodzeniem. Ale szybko ochłonął. Cóż go mogła obchodzić poczta? Dla niego nic nie wiozła. Przygarbił się, ręce założył wtył i stał w miejscu ze wzrokiem utkwionym w próżni.

Usłyszawszy wołanie Bess, skierował się ku drzwiom. Zatrzymał się jednak i ukradkiem wrócił po tajemniczy list. Podniósł go, rozprostował, schował do kieszeni i, jakby uspokojony, pośpieszył na obiad.

W tym czasie Kid spienionego konia zatrzymał przed „salunem", zeskoczył z siodła, pchnął wahadłowe, niskie drzwi i, witając się z oberżystą, zapytał półgłosem:

— Gdzie Joe?

Barczysty olbrzym zauważył najpierw z uśmiechem, że Kid mimo tuszy umie być rzeźkim, gdy tego wymagają jego interesy, poczem obnażoną do łokcia i porośniętą ciemnym włosem ręką wskazał boczne, zamknięte drzwi. Kid pośpieszył ku nim a, nacisnąwszy żelazną klamkę, cicho wsunął się do dusznej izby.

— Znów cię gryzie? — spytał, pochylając się nad samotnikiem o ziemistej twarzy.

Odpowiedziało mu głuche milczenie. Widok brudnych, zlepionych włosów i odstających, nieforemnych uszu przejął go obrzydzeniem, więc odsunął się, wziął krzesło i usiadł naprzeciw.

— Zapomniałeś, że masz język w gębie? — zagadnął znów po chwili. — Przed sędzią nie siedzisz.

Joe z trudem podniósł ciężące mu powieki, które zaraz zpowrotem opadły na oczy.

— Odczep się. — mruknął niechętnie. — Zbrzydła mi twoja opasła twarz, skończyłem z tobą. Niczego się nie dowiedziałem, zostaw mnie w spokoju.

Złośliwy uśmiech skrzywił sine wargi Kida.

— Ja do niczego cię nie zmuszam. — mówił powoli. — Rób, jak chcesz, ale dziś jeszcze mogę odwiedzić szeryfa, którego ucieszy moja wizyta. Wiesz dobrze, Joe, że beze mnie byłbyś niczem?

Wsparłszy się rękami o brudny blat stołu, Joe podniósł się z wysiłkiem, spojrzał w oczy połyskujące wrogo i, splunąwszy przed nogami Kida, wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

...Krwawe blaski objęły niebo i czas wytchnienia zstąpił na ziemię.

Bess w towarzystwie Jima odbywała zwykły przedwieczorny spacer. W zamyśleniu spoglądała na młodzieńca, nie umiejąc odgadnąć przyczyny jego przygnębienia. Wreszcie przemówiła:

— Od rana chodzisz zasępiony i nie masz odwagi wyznać, co cię gnębi.

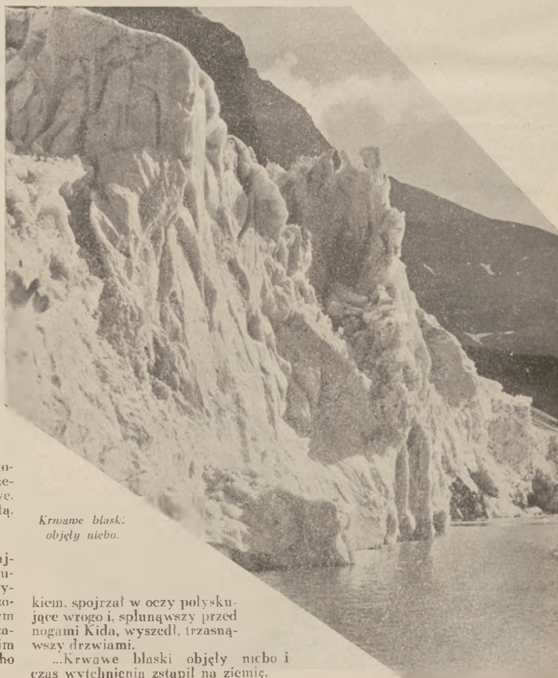
Found wybuchnął niespodzianie:

— Wszystko! Czuję, że mam tego dość!

Gorący rumieniec oblał policzki Bess i nastąpiło głuche milczenie. Czas jakiś słychać było lekkie ich kroki na twardej ścieżce.

Po przerwie Bess zaczęła nieco gorzko:

— Tak, papcio zawsze mówił, że jesteś wędrownym ptakiem i musi przyjść dzień twojego odlotu. Przypuszczał, że długo nie wytrwasz, że jesteś wolnym i niespokojnym duchem. Jim, ja cię rozumiem. Czasem i na mnie przychodzą chwile buntu. Czuję się zamknięta w tej dolinie, którą opasujące góry, jakby odgrodziły od prawdziwego świata i tylko marzyć wolno o innem życiu.



Krwawe blaski objęły niebo.

Found nagle stanął przed nią, chwytając ją za ręce.

— To nie to, Bess! — rzekł z ponownem rozdrażnieniem. — Ja nigdzie nie chcę stąd odchodzić, tylko ojciec, twój ojciec mię nienawidzi! Kiedy mu powiedziałem, że chcę ożenić się z tobą, myślałem, że rzuci się na mnie.

— Posądza cię o przyjaźń z Kidem i to psuje ci opinję.

— Czy i to wina Kida, że odnosi się do mnie wrogo, z jawnem uprzedzeniem, nigdy nie przemówi przychylnie, niechętnie odwraca oczy, jakbym co zawinił, a przecież nie lenię się i pracuję bez szemrania.

Stali naprzeciw siebie z pochylonemi głowami, a ręce ich rozplotły się i oboje ogarnęła męcząca cisza.

Gasły ostatnie blaski, chłód wypełzał z ziemi, a nad łąkami poczęły się mgły unosić.

Bess przemówiła pierwsza:

— Wracajmy, papcio będzie czekał z kolacją.

— Papcio i papcio!—rzekł Found szorstko. — Więcej myślisz o nim, niż o mnie! Może mi znów powtórzysz, że zostaniesz żoną tylko tak szlachetnego człowieka, jak on? Szlachetnego? Gdybyś wszystko wiedziała o nim, ostygłaby twoja miłość. Jestem tu niedawno, ludzie szepczą, ale kto umie słuchać, dowie się wiele.

Przerwała mu:

— Zamilcz! Nie waż się ubliżać człowiekowi, którego kocham, szanuję i któremu zawdzięczam wszystko.

Nagle zasłoniła twarz rękami i wyszeptała rozpaczliwie:

— Jim, o, Jim...

Lecz on, jakby bardziej podrażniony jej bólem, ciągnął dalej:

— Mówią wszyscy, że ten twój papcio miał syna, o którego los nie zatroszczył się nigdy. Przestał dla niego istnieć, bo pokrzyżował jego egoistyczne plany. Chciał go zagrzebać na farmie, gdyż dziad i pradziad żyli i umierali tu, lecz chłopcu znudziło się towarzystwo pastuchów i uganianie z nimi na dzikich mustangach za bydłem. Pewnego dnia zajrzał do kasy papy i umknął w świat, spragniony wiedzy i innego życia. Czy i teraz jeszcze będziesz mi tego papcię za wzór stawiała?

Podniosła na niego nieprzeniknione oczy i powiedziała z chłodnym spokojem:

— I od tego czasu nie pozwolił nikomu wymawiać imienia tego wyrodnego chłopaka!

Odwróciła się i odeszła szybko.

Jim Found stał bez ruchu, choć widział, jak oddalała się coraz bardziej, aż w końcu zniknęła mu z oczu.

Ściemniło się znacznie, kiedy zdecydował się wrócić do domu. Przed werandą stał osiodłany wierzchowiec i Blake ukazał się niebawem, jakieś rozkazy wydając komuś wewnątrz domu. Found niepostrzeżony obserwował go i widział, jak na biodrach zapinał pas, w którym tkwił duży rewolwer. Stajennemu kazał czemprędzej rozsiodłać swojego konia i czekać przy bramie, a sam chwycił lejce kasztana gospodarza.

Na widok Jima krzaczaste brwi Blake'a zsunęły się chmurnie, odjechał w milczeniu, wolno prowadząc konia. Found szedł za nim do bramy, a dosiadłszy swego wierzchowca, skierował się ku rzece. Po chwili jego uszu doszedł silny bas gospodarza:

— Stęskniłeś się za whisky, hę? To nie tędy droga.

Found odkrzyknął:

— Ja jadę na spotkanie poczty, a pan na whisky. Czy mam przyjechać po pana do gospody? Myślę, że przyda się moja pomoc, stary John ma mocne trunki.

Zwolna ociągając się, Blake podążył za nim, mrucząc coś do siebie, a Found uśmiechał się skrycie.

— Poco ci poczta? — spytał Blake. — Chyba nie czekasz listu od kochanki?

— Dlaczego pan nie zawróci do gospody?

Blake odmruknął niechętnie:

— Nie miałem zamiaru tam jechać.

Jim Found podejrzewając, iż niefortunny list spoczywa na piersiach starca, upewnił się, że jego domysły były trafne. Popędził konia, a Blake pośpieszył za nim. Szybko zbliżając się do rzeki, groźny jej pomruk słyszeli z oddali.

Wkrótce znaleźli się na szczycie skały, z jednej strony mając gęsty las sosnowy, z drugiej, nisko w dole, z hukiem kłębiącą się wodę. Byli niedaleko kamiennego mostu, kiedy ujrzeli pędzącego ku nim jeźdźca, krzyczącego coś o wypadku, jakiemu uległ dyliżans. Podążając za nim, Blake ujrzał najstraszniejszy obraz własnej imaginacji: roztrzaskany most, z gruzami którego woda unosiła ciała pasażerów oraz... torbę z pocztą. Serce biło mu gwałtownie, czuł, jak pod kapeluszem wilgotniały skronie.

Po kilku minutach znaleźli się na miejscu wypadku i Blake odetchnął z ulgą. Most kamienny górował nad rzeką, dyliżans już podniesiono i zabrano się do zakładania koła, pasażerowie dysputowali żywo, rozcierając potłuczone kości, a kobiet ani dzieci, na szczęście, nie było. Patrząc na to wszystko, wymyślał chłopcu, że niepotrzebnie narobił zamieszania.

— Niepotrzebnie? — bronił się chłopiec. — To panu jeszcze mało, że dyliżans omal nie wpadł do rzeki, ludzie się potłukli, a torba z pocztą przepadła? Szukano jej wszędzie i nie znaleziono. Pocztyljon ma pokaleczoną głowę i z nikim nie chce rozmawiać.

Blake zaklął i podjechał do dyliżansu, a Jim zabrał się do przeszukiwania pakunków, leżących na ziemi w nieładzie. Skórzanej torby nie znalazł jednak. Czas jakiś stał zamyślony, poczem położył się na brzuchu na krawędzi skały, by sokolemi oczami spojrzeć w dół.

—Chcesz kark skręcić? — rozległ się ochrypły głos.

Found odwrócił głowę i ujrzał nad sobą pochyloną ziemistą twarz. Podniósł się czemprędzej, a patrząc podejrzliwie w mętne, unikające jego wzroku, oczy, rzekł:

— Skąd się tu wziąłeś, Joe?

Usłyszał niechętną odpowiedź:

— Byłem w Parowie i zabrałem się na kozioł, bo mi koń okulał.

Found roześmiał się głośno, wziął go za ramiona i lekko pchnął w stronę dyliżansu, mówiąc:

— Pomóż im pozbierać rzeczy, bo nie wygrzebią się do nocy. A kłaniaj się ode mnie Kidowi, pilnuj, żeby cię nie oszukał i powiedz mu, że ja tu jestem.

Joe spojrzał na niego z pod oka i oddalił się leniwym krokiem, utykając nieco.

Pierwsze gwiazdy poczęły w górze przebłyskiwać, kiedy wreszcie dyliżans ruszył w dalszą drogę. Blake wrócił do Jima, a na twarzy jego widać było wyraz rozczarowania.

— Jest torba! — krzyknął mu Found do ucha.—Tędy jej nie dostaniemy, ale pan kamieniami strąci ją z krzaka, a ja będę czekał w łodzi nad brzegiem. Niech pan zaczeka, aż zjadę na dół.

Blake nie zdążył przemówić ani słowa, gdy Jim dosiadł konia i popędził wzdłuż brzegu, który zniżał się dość stromo, aż się zrównał niemal z poziomem wody. Śledząc za nim wzrokiem, poczuł dreszcz niepokoju i znów myśl jego przywarła do zgniecionego świstka papieru, ukrytego na piersiach. Z nabożeństwem dotknął go ręką i zabrał się do roboty. O kamienie nie było tu trudno, to też niedługo zobaczył, jak jakiś ciemny przedmiot staczał się do wody. W tej samej chwili ogarnął go lęk o Jima i stanął nad brzegiem, gdy tamten spychał łódź. Chwycił go za ramię i krzyknął:

— Nie wolno ci narażać życia dla fantazji! Pal djabli torbę z pocztą! Jim, czy ci życie niemiłe?

— A niemiłe! — odkrzyknął Found i poczuł ochotę do śmiechu.

Szarpnął się, wskoczył do łodzi, odpychając ją od brzegu. Blake, klnąc, śpieszył za nim lądem, wytężył wzrok, by nie stracić go z oczu; śledził jego wysiłki, jak przy pomocy wiosła starał się omijać wystające głazy, aż w pewnej chwili, sięgając po torbę, której pas zaczepił się o sęki zwalonego drzewa, przechylił się gwałtownie i wpadł do wody, uderzając głową o kamień.

Natychmiast Blake pośpieszył mu z pomocą. Chwyciwszy go mocno pod ramiona, ciągnął do brzegu, ale pośliznął się na omszałym kamieniu i upadł na kolana. Jęknął z bólu, lecz po chwili podniósł się z wysiłkiem, wyciągnął Jima na brzeg, z przerażeniem patrząc na krew, sączącą się z jego skroni. Czemprędzej rozdarł rękaw koszuli i, płótnem przewiązując ranę, przyglądał się pobladłej twarzy zemdlonego.

Było już zupełnie ciemno, kiedy Blake zatrzymał konie przed domem.

Bess przywitała go gniewnie:

— Bawiłeś się tak długo w „salunie", aż wyrzucono cię za drzwi?

— Sprowadź Bena — rzekł zmęczonym głosem.

Teraz dopiero spostrzegła, że ramieniem podtrzymywał kogoś, a koń Jima szedł luzem.

Długo jeszcze po północy Blake siedział przy łóżku Jima Found, zapatrzony w pobladłą i zmienioną twarz młodzieńca. Czuł, że oczy mu wilgotnieją, więc zapalił fajkę, aby dymem przysłonić oblicze.

— Uratowałeś mnie, chłopcze — rzekł zwolna. — Powinienem się był wcześniej domyśleć, iż nikt inny nie uczyniłby tego dla mnie starego.

Jim Found przemówił słabym głosem:

— Ja wiem tylko tyle, że moje wysiłki okazałyby się daremne, gdyby mnie razem z torbą nie wyciągnął ktoś z wody.

Blake milczał.

Cicho uchyliły się drzwi i do pokoju weszła Bess, stąpając na palcach. Chwilę niespokojnie patrzyła na obu mężczyzn, poczem przemówiła półgłosem:

— Czas na spoczynek, papciu. Chory powinien zasnąć.

Blake przyciągnął ją do siebie, objął ramieniem i zaczął z uśmiechem:

— Pamiętasz ów nieurzędowy list? To nie był żart, a poprostu nasza niedomyślność. Zawiadomienie przysłano Jimowi. Biedny chłopiec musiał najpierw z wody wyłowić torbę, by swojemi dolarami raz na zawsze zapchać gardło żarłocznego kujota. Bess, możesz zacząć rozpakowywać rzeczy, zostajemy w „Czarodziejce".

Dziewczyna do leżącego wyciągnęła rękę, którą ujął w obie dłonie. W milczeniu przyglądała mu się przez chwilę: blady, lecz w łagodnych oczach widniał wyraz głębokiego spokoju, jakgdyby nareszcie zdobył dawno upragniony wypoczynek.

Jim przemówił głosem niepewnym:

— Bess, wybaczysz mi te niegodziwe słowa, jakiemi wyraziłem się o twoim papciu?

Przytulona do ramienia opiekuna, odparła ze szczęśliwym uśmiechem:

— Jeśli on ci wybaczy i ja chętnie to uczynię.

Blake pocałował ją w policzek.

— Dzielną mam w tobie obronicielkę — rzekł — ale obaj już wybaczyliśmy sobie wszystko. Długo nie mogłem znieść jego widoku, bo budził moją tęsknotę i wyrzuty sumienia, teraz natomiast niechętnie odrywam oczy od niego. Przyjrzyj mu się dobrze, Bess, bo tu przed tobą leży nie Jim Found, przybłęda znikąd, jak mówił, lecz naprawdę „odnaleziony" Bob... mój syn.



Czy znacie góry?

Ależ nie, nie rozumiemy się; przecież wiem, że bardzo wiele z was było podczas tych wakacyj w Zakopanem, Krynicy czy Jaremczu, nie pytam też, czy byłyście w górach; chodzi mi poprostu o to, czy je znacie.

Myślicie, że przebywać gdzieś, a znać to „gdzieś" na jedno wychodzi?

Otóż nie.

Gdy kilka lat temu zamieszkałam w pewnem małem mieście francuskiem, rozłożonem u stóp Alp, cieszyłam się ogromnie, że z okna mojego pokoju widać było góry. Dalekie, osnute błękitnawą mgłą, wiecznie ośnieżone szczyty. Bardzo lubiłam patrzeć na nie. Pokój był dosyć niewygodny, dom pochodzący, zdaje się, aż z XVII-go wieku, ciemny i ponury. Mimo to mieszkałam tam dłuższy czas, bo żal mi było przenieść się do centrum miasta, skąd nie miałabym już widoku na moje ukochane góry. Ukochane? Otóż to. Żeby coś pokochać, trzeba to przecież znać. Wstyd powiedzieć, ale, czy wiecie, że przez długie, długie miesiące nie przyszło mi do głowy zbliżyć się do tych „ukochanych" gór, zagłębić się w ich niezbadane zakamarki, poznać, czem są w istocie? Nie, wtedy ich jeszcze nie kochałam.

Ale nadeszło lato, a z niem tak zwany sezon górski. Coraz częściej rankami widziało się na ulicach szare sylwetki turystów - górali, uginających się, jak mi się zdawało, pod ciężarem wielkich zwojów lin, wypchanych plecaków, czekanów. Często kolorowa czapeczka, barwna, flanelowa koszula mówiły już zdaleka, że góralem jest — dziewczyna. A ja ciągle siedziałam uparcie w mieście i zadawalałam się widokiem gór z mojego okna, na turystów zaś z linami patrzałam z pobłażliwością, jaką ma się dla ludzi pozbawionych piątej klepki i z pewną dozą litości, którą darzymy samobójców.

Ale przyszła kryska na Matyska.

Pewnego pięknego dnia, o świcie, i ja znalazłam się w szarym tłumie, oczekującym na kolejkę elektryczną, która miała nas zawieźć w głąb gór.

Zdziwiło mnie, że wszyscy tu się znali i widocznie lubili. Udzielano sobie wzajemnie wskazówek, objaśnień co do marszruty, opowiadano o poprzednich wyprawach, dzielono się wrażeniami z nich. Co chwila słychać wybuchy śmiechu. Wszyscy ci ludzie, a byli wśród nich starzy profesorowie uniwersytetu obok młodziutkich licentek, studenci obok robotników, dziwnie do siebie pasowali w tych okolicznościach i nie raziły bynajmniej swem beztroskiem a dotąd niezrozumiałem dla mnie rozradowaniem. Zauważyłam też, że łączyła ich jedna, wspólna zewnętrzna cecha. Mieli wszyscy twarze spalone na bronz i jeden podobny wyraz oczu. Było to tak, jakby się w tych oczach wciąż odbijało słońce.

Mimo, że do tej chwili nie byłam zbyt zachwycona tą moją szaloną eskapadą, a przyznam się, że i strach mnie trochę oblatywał, gdy patrzyłam na linę, zwisającą z ramienia jednego z mych towarzyszy, to jednak starałam się zachować „godnie" i broń Boże nie okazać tremy. A potem było mi już w tej kolejce tak wesoło i miło, że zapomniałam nie tylko o strachu, ale wogóle o wszystkiem, co łączyło mnie z codziennem życiem w szarem i zakurzonem mieście; czułam się też coraz więcej i mocniej zespolona z tą gromadką warjatów, jak ich często przedtem nazywałam.

A góry, dalekie, nieznane góry, były coraz bliższe; wyciągały do mnie gościnnie swe długie, zielone ramiona, iskrzyła się zwycięsko w słońcu koronką grani, wchłaniały w czerń tunelów, żeby potem oślepić przedziwną gamą barw i blasków.

No i tak się zaczęło, a nie skończy się chyba nigdy. Bo takie już jest prawo górskie, że góry raz poznane i pokochane nie pozwolą ci już o sobie zapomnieć, zupełnie jak w tej piosence, którą pewno znacie, a która mówi, że

„Kto raz się wdarł na szczyty i czołem sięgnął chmur,
Ten zawsze tęsknić będzie do niebotycznych gór".

A teraz powiedzcie mi, tylko szczerze: czy jest wśród was choć jedna,

którąby nie kochała wolności i swobody, słońca i powietrza i któraby, patrząc zdaleka na panoramę gór, nie zamarzyła choć raz, żeby znaleźć się tam, wysoko na jednym ze szczytów i to właśnie tym najwyższym i najbardziej stromym?

Tylko, że z tem znalezieniem się na szczycie łączy się wyraz „wspinaczka", przejmujący tak was, jak i „waszych rodziców i wychowawców" lekkim dreszczykiem strachu. Stają też zaraz przed oczyma groźne a imponujące przedmioty z nią związane: lina, czekan, buty z niewiarygodnie długiemi gwoździami, jakieś raki żelazne, widziane w sklepie sportowym na wystawie i Bóg wie jakie jeszcze narzędzia tortur.

I przyznajcie, że oto widzicie już siebie, dyndające na linie nad przepaścią „bezdenną", podczas gdy pan Olek, Jurek, czy inny Władek (podobno świetny taternik) włazi w swych podkutych butach, podpierając się od czasu do czasu czekanem, na prostopadłą ścianę skalną, jakby to była najlepsza w świecie droga. Wszystko to jest bardzo efektowne i niezwykłe, ale jednak lepiej nie narażać się i dać sobie spokój, bo.. a nuż lina się urwie?

Nie obrażajcie się moje kochane, ale doprawdy w waszych lekceważących ,pełnych pogardy i wyższości oświadczeniach, że gór nie lubicie i nie macie zamiaru w nie się zagłębiać, bo niema tam nic ciekawego, kryje się



A góry dalekie, nieznane góry były coraz bliżej.

spora doza strachu i duża nieznajomość rzeczy. Oglądałyście efektowne (i zresztą często tylko na sam efekt obliczalne) zdjęcia z przeróżnych popisów akrobatycznych na terenie gór i ot, macie już wyrobioną opinję.

A przecież turystyka górska i wspinaczka, ta zwykła, uprawiana przez większość taterników i alpinistów, to taki sam sport, jak każdy inny. Uprawiany z umiarem i rozsądkiem, nie przekracza granic minimalnego ryzyka, które istnieje przecież niemal w każdym sporcie. Wyrabia mięśnie, ćwiczy wolę, wymaga opanowania nerwów, zręczności i odwagi, daje nam niezapomniane wrażenie estetyczne. Naturalnie konieczne tu jest pewne przygotowanie i sprawność fizyczna, tę jednak można łatwo osiągnąć przez zwykłą (byle regularną) domową gimnastykę. Pozatem przyjmijcie ode mnie kilka małych przestróg: 1. Nie idźcie nigdy, ale to nigdy na wycieczkę górską same. Musicie mieć ze sobą zawsze kogoś, kto góry zna już dobrze i kto was poprowadzi, nie narażając niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Pamiętajcie, że to żaden wstyd iść za przewodnikiem i słuchać go. 2. Nie brawurujcie. Oprócz małego, wybitnie egoistycznego zadowolenia, nic wam z tego nie przyjdzie, a mogą was łatwo posądzić o tak zw. snobizm górski, który jest niczem innem, jak wygórowaną do śmieszności ambicją. 3. Pamiętajcie o odpowiednim ekwipunku. Buty turystyczne, lekko podkute, ciepły pulower (o każdej porze roku), kurtka, wygodny do noszenia plecak i spodnie sportowe (choćby brata) są w górskich wycieczkach, zwłaszcza połączonych z niewielką wspinaczką, niezbędne.

A teraz żegnajcie. Może spotkamy się gdzieś na stromym szczycie Tatr, a może będziemy odpoczywać obok siebie w jakimś małym schronisku, zagubionem wśród skał? Będziecie miały wtedy, jak i ja, ciemno opalone twarze, ruchy lekkie i zwinne. Wiem też, że wyczytam w waszych prześwietlonych słońcem oczach zachwyt i dumę, którą daje prosta świadomość faktu, że się doszło aż na sam szczyt.

Halina Żerańska.

KURJER DEKADOWY Nr. 7 20.IX. — 1.X. 1933 r.

MIĘDZYNARODOWY ZJAZD HISTORYKÓW.

Dnia 22 sierpnia otwarty został w Warszawie międzynarodowy zjazd historyków, na który przyjechało przeszło 1100 delegatów ze wszystkich stron świata. Wygłoszono na nim przeszło 400 referatów z najróżnorodniejszych dziedzin wiedzy historycznej. Po raz pierwszy też miała na nim miejsce, urządzona w imponujących rozmiarach, wystawa map historycznych. Najlepiej przygotowane i najliczniejsze obok polskiej były delegacje: francuska, włoska i niemiecka, które liczyły każda po kilkadziesiąt delegatów. Wśród uczestników zjazdu były trzy grupy ideologiczne: liberalistyczna, nacjonalistyczna i marksowsko - materjalistyczna. Kongres ten miał duże znaczenie dla wiedzy historycznej, dając możność poszczególnym uczonym do wymiany swych myśli i wzajemnego poznania się oraz nawiązania stosunków. Rezolucje, jakie na nim zostały powzięte, dotyczą kwestyj pedagogicznych, organizacyjnych, technicznych i wydawniczych. Na przewodniczącego kongresu powołano prof. Dembińskiego, a na prezesa honorowego — przez aklamację — na wniosek Polski Marszałka Piłsudskiego.

ZJAZDY POZNAŃSKIE.

W dniu 13 września Poznań święcił prawdziwe święto polskiej nauki, gdyż otwarte zostały tu jednocześnie: XIV zjazd lekarzy i przyrodników polskich, IV zjazd lekarzy słowiańskich oraz pierwsza u nas wystawa pod hasłem „Przyroda, zdrowie i opieka społeczna". Na zjazd lekarzy i przyrodników przybyła rekordowa ilość około 7.000 uczestników, przyczem ma być wygłoszone 1800 referatów. W zjeździe lekarzy słowiańskich biorą udział Czesi i Słowacy, Jugosłowianie i Bułgarzy. Wobec tych dwóch zjazdów szczególne ma znaczenie otwarcie wystawy przyrodniczo - lekarskiej, w której biorą również udział Czesi i Bułgarzy. Rozmiary jej są imponujące, a sam dział naukowy 20 razy większy od analogicznego na Powszechnej Wystawie Krajowej w 1928 r. Dział przyrodniczy daje nam obraz ochrony przyrody i jej najnowszych zastosowań praktycznych w dziedzinie ratownictwa, a Wystawa Zdrowia daje obraz wszystkiego, co Polska dotychczas w obronie o zdrowie narodu zdziałała, przyczem należy stwierdzić, że walka na tem polu pochłania rocznie prawie miljard złotych. Duży udział w wystawie tej bierze wojsko, organizując m. in. interesujący pokaz medycyny lotniczej z najciekawszym eksponatem — samolotem polskim sanitarnym, który zdobył niedawno pierwszą nagrodę na Wystawie Sanitarnej w Madrycie.

250-lecie ODSIECZY WIEDNIA.

Z okazji 250-lecia obrony Wiednia rozpoczęły się w Wiedniu wielkie uroczystości polskie. 12 września odbyła się uroczysta msza święta na historycznem wzgórzu Kahlenberg, z którego przed 250 laty ruszyły do ataku skrzydlate hufce polskie na nieprzyjaciela. Przy kaplicy króla Sobieskiego ustawiono ołtarz polowy, obok którego zajęli miejsce dygnitarze austrjaccy i delegacja polska, wśród której powszechną uwagę zwracali polscy rycerze maltańscy, ubrani we wspaniałe historyczne polskie stroje. Na placu zebranych było przeszło 10.000 ludzi. Następnego dnia odbyło się uroczyste wręczenie gminie m. Wiednia przez delegację polską obrazu polskiego malarza Borncińskiego — Jan Sobieski pod Wiedniem. Przy tej okazji prezes delegacji, Stamirowski wygłosił przemówienie, w którem podkreślił znaczenie czynu Sobieskiego, jego rycerskiego ducha i poczucie obowiązku dochowania za wszelką cenę zawartych zobowiązań i umów.

Tegoż dnia przybyły do Wiednia uroczyście witane dwa samoloty krakowskiego aeroklubu, lecące szlakiem, jakim szły pod Wiedeń wojska Sobieskiego. Wieczorem odbyła się z okazji obchodu wielka akademja.

MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA DRZEWORYTÓW.

Otwarta została przed kilkoma dniami w salach Instytutu Propagandy Sztuki Międzynarodowa Wystawa Drzeworytów, w której wzięło udział 30 krajów, nadsyłając przeszło 600 niezmiernie ciekawych prac.

FELJETON

START

Czem pachnie nowy rok szkolny? Kryształowem powietrzem, jeszcze ziemią, już zwiędłą wilgocią liści. A jakie ma kolory? Czerwone, liljowe i żółte. I jeszcze — zielonee.

To nic, że te zapachy i kolory trudno wyłowić i dostrzec w mieście, że się je widzi przelotnie i giną ledwie dojrzane. Babie lato omotało panią idącą po Marszałkowskiej... Taką to rzecz zobaczyłam na własne oczy. Szła zaplątana w srebrnej sieci. Pomyślcie tylko! I w szkole także: kolory, zapachy. Odnowione ściany, kwiaty w doniczkach rozrosły się bujnie, niejednego „głupiego Jasia", czyli mówiąc botanicznie tradeskancji, nie poznasz. Książki pachną farbą drukarską, a zeszyty oprawia się w glansowany papier o papuzich kolorach. A w domu? Rozpina się uroczystą, świeżą bibułę na biurkach, wyściela szuflady białym papierem, gromadzi narzędzia pracy: nowe obsadki, cyrkle, ołówki.

Dlaczego właśnie teraz, w momencie startu do nowej pracy wszystko chce się mieć czyste, kolorowe i ładne?

Teraz kombinuje się poetyczny abażurek z karbowanej bibułki: uroczo uzupełnia się gliniany wazonik czerwienią georginij i liljowością astrów. Na tym stole do nowej pracy rozkłada się czysty bruljon, obsadka zawisa nad papierem w postanowieniu tworzenia dobrze tego wszystkiego, co się na nim będzie tworzyło. Jeszcze bronzowe, opalone ręce gotowe są podjąć i dźwignąć wszystko trudne, co rok szkolny nadarzy.

Czy tylko szkolny?

Nie tylko. Jeszcze się palą barwami owoce na straganach. Biuralistka nabywa ćwierć kilo i szczęśliwa wkłada do szuflady kolorowy ładunek jesieni. Ona też rozpięła bibułę na biurku, przymyka oczy na chwilę i pozwala pobiegnąć myśli do plaży, pokrytej białym piaseczkiem, o którą pluskała cicho woda.

Sprzedawcy gazet brzmi jeszcze w uszach wesoła piosenka, której nauczył się na półkolonjach. Ekspedjentka w sklepie poczuje nagle, jak doleci ją świeży jeszcze w pamięci zapach maciejki. A latarnie miejskie w bukietach gałęzi zapalą się już wcześniejszym zmrokiem.

Miasto, o którem myślało się z obrzydzeniem w ostatnim wakacyjnym tygodniu, rozmigotało się teraz afiszami, literami neonu, rozgadało głosem trąbek i wesołym zgrzytem kół tramwajowych po szynach. Tu się wróciło do warsztatu pracy. Tu się będzie pracować lepiej, rzeźwiej, niż w roku ubiegłym. Zakrzyczały wypadkami nowego życia gazety.

Nowa siła krąży po żyłach. Nowa jesienna ochota. To start. Jakby tu dobrze wyliczyć siły, żeby starczyło ich na jesienną szarugę, na zimowe zawieje, na wytrzymanie w stanie tej gotowości do wiosny?

Przedewszystkiem pojąć, ocenić i uszanować tę wartość wewnętrzną rozpędu. Zrozumieć, że przeżywamy chwilę szczęśliwą, radość mało rozumną, ale cenną. Cięciwa napięta na łuku. Czy doleci do celu?

Trzeba, żeby doleciała. Pomyślcie znowu? cóż za ulga niezwykła. Żadnego balastu, żadnych zaległości, czyste jest ludzkie, robocze sumienie. Aby tylko nie opuścić się, nie pójść na dno, nie zawalić sobie równej drogi.

Nakreśla się nowy plan życia. Ma on nie skrzywdzić nikogo, to znaczy i nas. Rozmierza się stąd dotąd godziny, wije i wyściela własne miejsce w gnieździe rodziny, w gnieździe szkolnem, w każdem innem otoczeniu, w którem mamy spędzić szary czas jesienny i biały — zimowy. Wszystko, co się ma dla nas stać tego roku, zacząć trzeba *odrazu*.

Biedy zeszłoroczne zmalały, osłabły w sile. Teraz je można będzie wziąć za łeb. Nie skąpi wskazówek ubiegły rok życia: to i to było źle, tego i tego więcej będzie. Można usunąć z życia wszystko, co tamowało rozwój i radość. Jakiś nałóg próżniaczy, jakieś słabe miejsce w charakterze, jakaś plewa jałowa i sypka: niepotrzebne nieważne znajomości, gadulstwo, na którem uciekały cenne godziny, głupia lektura, rozstrzelenie myśli, żerowanie na otoczeniu, niewiara w siebie samą i łzy bez sensu lane potem w poduszkę. Dźwiganie się z tego wszystkiego i coraz głębsze wpadanie. I to nieszczęsne złoże rzeczy niedokonanych, spraw załatwionych, obowiązków, co deptały bezskutecznie po piętach i zatruwały życie. Łatwiej, o ile łatwiej jest w coś nie popaść niż wybrnąć. Nie dać się, nie dać za żadną cenę. Zawsze ta sama, klasyczna już choć jakże romantyczna hydra i dziecko w kolebce.

Całe długie ludzkie życie to wciąż inna faza walki z centaurem, którego trzeba przewyższać siłą narastającą każdego roku. Jesień — to punkt najwyższy tej siły. Postanowienie to chwila oczekiwania na start.

Bieg pomyślny — to wykonanie jesiennego natchnienia.

A finisz?

Finisz, to szczęście, którego doznamy wiosną na mecie tego roku szkolnego, roku życia każdego człowieka, po którym nastąpi długi oddech triumfu i wypoczynku.

Wanda Borudzka.

---

10 DNI W ŚWIECIE

Dziesięć dni duży to okres czasu. W dziesięć dni skomponował podobno Mozart całą swoją operę „Don Juan". My, gdybyśmy chciały tylko przepisać partyturę tej opery, straciłybyśmy więcej niż dziesięć dni ciężkiej pracy. Nie żądamy od was tego. Prosimy tylko o dziesięć minut zastanowienia się nad tem, o czem człowiek kulturalny powinien w ciągu tych dziesięciu dni pomyśleć, o czem powinienby sobie przypomnieć, na co popatrzeć. Nasz „Kurjer Dekadowy" mówi wam o najważniejszych wydarzeniach politycznych i ogólnie interesujących. My tu sobie w naszym kąciku — szerokim jak świat i jak świat ciasnym — chcemy pomówić o tem, co jeszcze warte pamięci, albo co się tej pamięci — poprostu narzuca.

I tak: kto z nas był kiedyś w Małopolsce Wschodniej, albo na Kresach, ten pewnie widział potworne, siedmioramienne krzyże, stojące na samotnych wzgórzach czy rozłogach. To były krzyże „choleryczne". Jedna z najstraszniejszych chorób świata — cholera — zabierała co kilka lat setki tysięcy ludzi w naszym kraju. Mickiewicz też umarł na cholerę. To wystarczy. Aż wreszcie dr. Robert Koch, który już przedtem wynalazł bakcyla tuberkulów (suchot), odnajduje bakcyla cholery. Był to rok 1883. Odnajduje Koch, że tylko w niefiltrowanej, nieczystej wodzie żyje ten wróg ludzkości. Nasze wodociągi ratują corocznie życie setkom tysięcy ludzi.

Koch umarł w roku 1910, kiedy w jego ojczyźnie, Niemczech, umiano jeszcze szanować wielkość i zasługi bez względu na pochodzenie (Koch był żydem). Dziś dzieje się tam inaczej: Niemcy, jak wiemy, skazują na banicję każdego, kto nie jest w stu procentach czystym Germaninem. Ale, że talenty nie rodzą się na zawołanie, ani zwykli ludzie nie tworzą nagle dzieł natchnionych — więc Niemcy w swojej nienawiści zrobili wyłom dla trzech muzyków — Cagalsa (wiolonczelista), Toscaniniego (słynny dyrygent) i Hubermanna (skrzypek). Ale wszyscy trzej artyści odmówili przyjazdu do Niemiec, solidaryzując się z wygnanymi literatami, aktorami, reżyserami teatralnymi i filmowymi, dla których w Niemczech niema miejsca...

Skoro mowa o filmie, proszę zapamiętać nazwisko van Gelder. Nie jest to przyszły Novarro, ani znakomitość reżyserska, w rodzaju Pabsta. Pan van Gelder jest sobie zwykłym studentem na uniwersytecie w Utrechcie. Niezwykłe w nim jest tylko to, że za temat pracy doktorskiej wziął kino. Pracę van Geldera przyjęto. Młody doktorant domaga się w niej stworzenia instytutu dla historji kinematografji, filmu i nawet odpowiedniej katedry na wszystkich wyższych uczelniach. Sądzę, że projekt van Geldera podoba się naszym młodym kinomankom?..

Pamięci amatorek białego sportu oddajemy pannę Lane. Osoba ta — to pierwsza rekordzistka świata. Dziś liczy sobie lat 68, ale bynajmniej nie wyrzekła się rakiety. We wrześniu wystąpiła na korcie w Lucernie i — pobiła wszystkie przeciwniczki.

Z gór Szwajcarji — na błota poleskie — to ładny kawał drogi! Nie możemy jednak pominąć w naszej 10-dniowej wędrówce pewnej gminy poleskiej, która się nazywa Wielkoryte. Otóż ta gmina złożyła na ręce wojewody poleskiego 2000 złotych na budowę polskiej floty. Niech żyją Wielkoryte!

Wracamy do Warszawy. Miasto i ludzie podnieceni pożyczką narodową. Każdy, kto rozumie, co to jest Państwo i jego potrzeby — śpieszy mu z pomocą w miarę sił i możności. Czasami nawet — i ponad możność.

Wielka sprawa pożyczki nie przesłania jednak spraw mniejszych. Z inicjatywy premjera Jędrzejewicza powstała nowa fundacja „Domy Akademickie im. Prezydenta Narutowicza". Fundacja ta obejmuje dom dla akademików, mieszczący się na ulicy Grójeckiej. Fundacja prowadzić będzie dom, który z powodu złej gospodarki znalazł się w długach. Może i lepiej, że nie młodzież, a starsi wezmą w swoje ręce tak trudną rzecz, jak administracja wielkim gmachem, prawda?!

GASTON CH. RICHARD

CZAR SKRZYDEŁ

TŁUM. STEFANJA HEYMANOWA

(Ciąg dalszy).

Anglja: Trzy aparaty Andsley — Doddge pilotowane przez kap. Olivera Leselyde i pilotów cywilnych Havrisa Ramsey'a i Williama Doddge.

Italja: Trzy aparaty Rome, pilotowane przez por. Paolo dei Giardini, kap. artylerji Giubo Servandoni i por. marynarki Amaldo Magrini.

Japonja: Trzy aparaty „Asaki", pilotowane przez maj. Hijo Kawamachi, kap. Ino Takatsuma i pilota cywilnego Manjo Gokounai.

Niemcy: Trzy aparaty Aviatikum, pilotowane przez maj. Albrechta von Neurstein, por. Ludwika Hirschfelta i pilota cywilnego Adolfa Neubauera.

St. Zjednoczone: Trzy aparaty Goldstar, pilotowane przez kom. Joe Th. Wendingto n, kap. Mac-Alpy i panią Amelję Rosemay.

Listy zawodników z Polski, Węgier i Austrji jeszcze nie nadeszły... Co się tyczy Francji, będzie reprezentowana przez 2 aparaty Durand-Gardel i jeden aparat Arnault, pilotowny przez kap. Franciszka Desroches i dawnego asa wojennego Montealvet'a.

Jeszcze raz zabrzmiały oklaski i, po przemówieniu podsekretarza stanu dla spraw lotnictwa, towarzystwo przeszło do dalszych salonów na czarną kawę. W błękitnym dymie cygar i papierosów nawiązano namiętne dyskusje. Kto zostanie zwycięzcą tego lotniczego turnieju?...

Oficjalni zawodnicy zagraniczni, których przeciwstawiano asom francuskim, byli znani i niejednokrotnie dowiedli swojej wartości; ich zastępcy będą napewno niemniej groźni... Jakże w takich warunkach można przewidzieć, która ekipa zwycięży?

— Stawiam sto ludwików na ekipę Piotr Durand - Gardel - Miss Białoskrzydła — rzekł wicehrabia de Beaupierre.

Uśmiechano się uprzejmie.

— Fortuna jest kobietą — powiedział Fernand du Mas d'Autours, śmiejąc się.—Powinna więc raczej sprzyjać ekipie męskiej.

— Eh, kto wie? — odparł wicehrabia. — Z biegiem lat może stała się feministką. Sto ludwików! Panowie... Kto przyjmuje zakład?...

*

Od czasu powrotu Janki i Piotra, chłód cechujący stosunki rywali wzmógł się jeszcze.

Fernand znów przystąpił do „regularnego oblężenia", ale, ku swemu zdumieniu, Janka unikała jego towarzystwa, nie przyjmowała zaproszeń i była całkowicie pochłonięta przygotowaniami do międzynarodowego konkursu.

Uprawiała metodycznie gimnastykę szwedzką, gimnastykę oddechową, pływanie, poświęcając temu czas wolny od pilotowania „Kormorana II", oraz wypełnianie funkcyj sekretarki do szczególnych poruczeń Klemensa Durand - Gardela, gdyż ona to głównie komunikowała rozkazy dyrektora poszczególnym szefom oddziałów.

Często miewała coś do załatwienia w warsztatach d'Issy-les Moulineaux lub w aerodromie. Udawała się tam sama małem autem, które prowadziła z zimną krwią i niezwykłą zręcznością.

Przybywała spokojnie, nie wywołując zamętu i tak samo spokojnie odjeżdżała, zawsze uprzejma, dyskretna, powściągliwa, często jednak zamyślona i smutna.

— Kogo wybierze pan na mechanika? — zapytała Piotra pewnego wieczoru.

— Waham się ciągle między Dickiem a Wawrzyńcem. Pierwszy pani się nie podoba, wiem o tem... Drugi jest już człowiekiem niemłodym i podróż do Indyj bardzo go zmęczyła... nadaje się więcej do robót w warsztacie, niż do reparacji na etapach, gdzie często trzeba improwizować. Dick zaś w tem celuje...

— Więc niech pan weźmie Dicka. Postaram się żyć z nim w zgodzie — zadecydowała Janka.

Nazajutrz, na lotnisku, Piotr przywołał Dicka.

— Będziesz mi towarzyszył w locie okrężnym — rzekł. — Postanowiliśmy to razem z ojcem.

Dick spuścił nos na kwintę.

— No, cóż? Jakoś nie jesteś tem zachwycony? Odpowiadaj!

— Przepraszam... panie Piotrze, ale pan Fernand już mnie zamówił, ażebym latał na jego maszynie... nie mogę się wymówić...

— Już ja to załatwię — rzekł Piotr, marszcząc brwi.

— Jeżeli to panu nie sprawia różnicy, to niech mnie pan zostawi z panem Fernandem.

— Nie chcesz polecieć ze mną. Nie masz już do mnie zaufania ?

— Tego nie mówię... panie Piotrze.

— Więc, co jest?

— Jest panna du Colombel... Oh, wiem dobrze. To jest prawdziwy as... Daję sobie radę z „Gryfem", czy z „Kormoranem"... Ale, co tu gadać?... Za każdym razem, kiedy się do mnie zwraca, przytrafia mi się coś przykrego. Pierwszego dnia, kiedy ją zobaczyłem, zgubiłem mój najlepszy klucz angielski, kiedyindziej znów rozjechała mi swoją maszyną oliwiarkę... I przemówiliśmy się o nią, ja z panem. Pan jest „na bakier" z Fernandem także przez nią... Mówię panu, że ona przynosi pecha! Wierzę w to. Jeżeli więc trzeba żebym z nią poszedł do zielonego djabła, pójdę, ale niechętnie. Mówię panu, lepiej nie zaczynać...

— Idjota!

— Pan się przekona, że mam słuszność! To więcej jak pewne, że jeszcze zdarzy się niejedno, zanim pojedziemy do Londynu, jak mówią Anglicy — mruknął Dick.

Piotr zostawił go, wzruszywszy ramionami i udał się do swej kabiny, ażeby się przebrać.

Kabina ta sąsiadowała z kabiną Fernanda i była z nią połączona drzwiami. Zaledwie wszedł i zaczął się rozbierać, usłyszał, że Fernand również powrócił. Nie był sam.

— Zapewniam panią — mówił tonem prawie gniewnym, tak u niego niezwykłym,— że winna mi jest pani wyjaśnienie. Nie mogę żyć tak dłużej, zwątpiwszy w panią i w niego, gapiąc się...

Dodał ciszej kilka słów, których Piotr nie zrozumiał, ale prawie jednocześnie usłyszał inny głos, który natychmiast rozpoznał; serce zabiło mu mocniej.

Był to głos Janki.

— Piotr?! ależ pan oszalał. Jak pan może myśleć i mówić takie rzeczy, mój Boże!...

— Przecież widzę! Pani nie jest ta sama od czasu waszej podróży! Unika mnie pani co najmniej z takim uporem, jaki ja wkładam w odszukiwanie pani... Niech się pani przyzna, że się pani rozmyśliła! On jest bogaty, będzie mógł panią obsypać klejnotami... Syn szefa! I majątek jego jest solidny i pewny! Takich atutów ja nie posiadam.

— Fernandzie, ależ to jest szaleństwo!

— Ah! Ah! Ah! Szaleństwo! Przecież to się rzuca w oczy. Nadskakiwał pani... ofiarował jej swój majątek...

— Przedewszystkiem miał ten takt, że mnie umiał uszanować, podczas gdy pan mnie obraża.

Piotr oszołomiony słuchał dalej...

W pewnej chwili włożył marynarkę, zawiązał naprędce krawat i otworzył gwałtownie drzwi do sąsiedniej kabiny.

Stała tam Janka w kombinezie z bronzowego płótna i z kaskiem, przewieszonym przez ramię. Była bardzo blada, włosy miała w nieładzie i oczyma pełnemi łez spoglądała na Fernanda, który, stojąc przy drzwiach, wołał z wściekłością:

— Nie! Nie wypuszczę pani, dopóki się pani nie przyzna...

Przerwał na odgłos nagle otwartych drzwi i Janka, jeszcze zmieszana, wyprostowała się.

Oboje jednocześnie powiedzieli cicho:

— Piotr...

— Proszę mi wybaczyć — odezwał się Piotr — ale, zupełnie niechcący, usłyszałem w mojej kabinie, gdzie jestem od kilku chwil, rozmowę tego rodzaju, że nie mogę się nie wtrącić.

— Dobrze, niech i tak będzie! — rzekł Fernand głosem drżącym od powstrzymywanej wściekłości — Oboje winniście mi prawdę!

Piotr spojrzał prosto w oczy swemu dawnemu przyjacielowi, poczem skłonił się przed dziewczyną.

— Przepraszam panią, Janko — powiedział — ale zdaje mi się, że, na razie, lepiej będzie, gdy zostaniemy sami, Fernand i ja.

— O nie, nie — zaoponował Fernand. — Chcę, żeby słyszała, co mam ci do powiedzenia.

— Więc dobrze, niech pan mówi — rzekła Janka.

Otarła łzy i podniosła głowę. Jej piękna, szczera twarz o jasnem spojrzeniu i cała jej postać naznaczone były taką godnością, że młody człowiek zawahał się przez chwilę.

— Uniosłem się — rzekł — i przepraszam. — Ale niepewność jest mojem cierpieniem. Szarpie mnie, gryzie, zabija... Wolę najgorszą prawdę od tej okropnej niepewności.

Zwrócił się do Piotra.

— Dotychczas byliśmy towarzyszami broni, serdecznymi przyjaciółmi. I choć ta rozmowa może być bardzo bolesna, jest ona konieczna. Czy chcesz odpowiedzieć mi szczerze, lojalnie, jak to robiłeś... dawniej?

— Pocóż dodawać to słowo, które samo już jest zniewagą — odparł Piotr ze smutkiem. — Zapewniam cię, Fernandzie, że to było zbyteczne.

— Czy słyszałeś, co mówiłem Jance?

— Częściowo tak... z początku, albowiem w pewnej chwili zniżyłeś głos... Wtedy usłyszałem, jak Janka energicznie zaprotestowała: „Piotr? Ależ pan oszalał!... Jakże pan może mówić i myśleć w ten sposób, mój Boże!"...

— I od tej chwili słyszałeś już wszystko...

— Tak i to spowodowało moją interwencję.

— Dobrze... — rzekł Fernand.

Zwrócił się do Janki.

— Czy mam mu powtórzyć zdanie, którego nie słyszał?

Twarz dziewczęcia zalała się rumieńcem, oczy zabłysły.

— Niech pan nie każe mu przypuszczać, iż mówił mi coś, czego nie można głośno powtórzyć... chociaż myśl pańska nie była zbyt szlachetna. Pan powiedział: „Proszę się przyznać, że pani woli Piotra ode mnie, bo on jest bogatszy".

(D. c. n.).

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

A TERAZ POROZMAWIAMY

Założę się, że *Zosia z Bydgoszczy* zapomniała już o swoim liście do redakcji. Ale trudno — lepiej późno niż nigdy (odpisać). Mamy tak mało miejsca na korespondencję! Może kiedyś uda się odpisać na 30 listów odrazu na wkładce arkuszowej, co mi się bardzo uśmiecha. Twoje zapytanie filmowe przekazuję do działu kina i teatru. Dostaniesz osobną odpowiedź. Oceny wierszyka szukaj w dziale „Nasze seminarjum". Ach, podwójna grubość numeru... To zależy tylko od ciebie, Zosiu i wszystkich innych Zoś, Janek i Maryś w Polsce i zagranicą. Mówię oczywiście o ewentualnych prenumeratorkach „Świata Dziewcząt"! Przyślij opowiadanie — do Naszego Seminarjum!"

Jasnowłosa Anka z Krakowa. Dziękujemy za „uwielbienie". fotografję przyślij wyraźną, na błyszczącym papierze. Serdeczne pozdrowienia.

Zagłębianka. Twoje biedy balowe już przewiały nad głową — niedługo znów przyjdą „światowe" kłopoty. Jakże ci tu dać temat na nowelę? To przecież musi powstać w tobie, pomęczyć cię porządnie, domagać się napisania. Jakiś fakt, co cię uderzy, coś mocno przeżytego, coś do powiedzienia wszystkim ludziom. Nie, nie mogę dać ci tematu. Musi przyjść sam. Może narazie poprzestaniesz na krótkim reportażu do Świata Dziewcząt, opowiesz jakiś fakt ze swojego, czy gromadnego życia, któryby zainteresował i inne czytelniczki?

Droga Kiku-sin! Czy nie odezwiesz się szybko i zdecydowanie w tym roku szkolnym? Nasze, „stare, zacne", jak mówił Wallace (ten od powieści kolonjalnych!), prenumeratorki powinny nam dodać odwagi do nowych znajomości ze świeżym narybkiem..

Bronka z V-ej kl. Nawzajem, najlepsze życzenia przy „nowym roku" Broneczko. Redakcja po staremu uważa jesień za coś nowego w życiu pisma.

Jak w szkole...

Maryla chce, żeby pismo w dalszym ciągu dawało roboty ręczne (zrobiła sama ianter!) „coś smacznego", wiadomości z dalekiego świata, życie wielkich pisarzy i zasady życia towarzyskiego, oraz wyświetlenie różnych sytuacyj, kiedy trudno jest zachować takt i godność. Zastosujemy się do twego życzenia Marylo i bardzo dziękujemy za prawdziwy udział w naszej pracy (och, przez małe, malutkie *p)* Proszę, piszcie do nas wszystkie co i jak chcecie, żeby było!

Winifreda chce, żebyśmy omawiali prawdziwie piękne książki dla dorosłych. To jest rzecz b. poważnego rozważania. Mam nadzieję, że uda się nam to przeprowadzić. Niech żyje *prawdziwa*, dobra książka.

Irysek z Olkusza. Można częściej z nami korespondować Irysku, a żaden życzliwy odruch człowieka do człowieka nie jest gestem śmiesznym. Będziesz miała swoje kino, bądź zupełnie spokojna.

Helutce J. z Warszawy (list pisany ołówkiem, ale to nie nie szkodzi). Jak twoje zdrowie po wypadku, Helutko? Jak spędziłaś wakacje? Czy na swojej ulubionej wsi, gdzie można chodzić w niemodnej sukience?

Elzunia z IV kl. No, więc doczekałaś się „Świata" po wakacjach. A może napiszesz coś więcej o sobie. Niestety, dalszego ciągu „Rodu Dronów" chyba się nie da uzyskać. Ale będziemy dawać inne ładne nowelki.

Wandzie. Czy Bratnie Dusze dały ci jakie przyjacielskie żniwo? O, na pewno nie boimy się szkolnego żargonu, ale wiesz że to są przeważnie łątki — jednodniówki. Jakieś słówko wydaje się extra modne, a potem nagle traci na atrakcji i wykreśla go się ze słownika. B. dziękujemy za prenumeratorkę w Sopotach. Czy mieszkasz jeszcze w Oliwie? Miło jest spotkać kogoś, kto nie wstydzi się tego, że jest wzorem pilności. Przecież dobrze się uczyć, to bardzo elegancko. Wogóle robić coś *dobrze*, a nie miotać się bezsilnie w walce. Napisz jeszcze droga Oliwianko". O, i czy Szanowna Pani nic nam nie napisze o morzu?

CZAS

Metr ma sto centymetrów, kilogram — tysiąc gramów, godzina — sześćdziesiąt minut.

Wszystkie centymetry są zawsze jednakowej długości (jeżeli, oczywiście, miara jest dobra) i wszystkie gramy są jednakowo ciężkie.

Zupełnie inaczej jest z minutami. Jedne są nieskończenie długie, inne znowu bardzo, bardzo krótkie. Jedne wskazówka zegarka z trudem popycha naprzód, innych nie może dogonić, tak szybko uciekają.

Wiemy o tem aż nadto dobrze, prawda?...

Godzina, spędzona z ulubioną książką, na miłej pogawędce, na korcie tennisowym — mija jak jedna chwila. Ale kwadrans nudnego wykładu (bo są i takie!) ,albo pięć minut czekania na tramwaj wloką się jak wieczność.

Jednem słowem — czasu nie możemy zmierzyć żadnym czasomierzem. Jedyną prawdziwą miarą czasu jest to, cośmy przez te kilka minut czy godzin zdziałali. Francuski filozof Bergson ujął to w bardzo piękne powiedzenie:

„Czas, jeżeli nie jest twórczością — jest niczem". To znaczy, że każda chwila, której nie wypełniliśmy pracą, zabawą, myśleniem czy marzeniem jest chwilą bezpowrotnie zmarnowaną. Jest niczem.

Na chwile takie czyha największy wróg naszej młodości: nuda. Kto się z nią zetknął bliżej — wie, jak jest nieznośna, dokuczliwa, jak psuje humor i jak trudno ją odpędzić, gdy się raz do kogoś przyczepi.

Najlepiej zupełnie jej do siebie nie dopuszczać. A na to jest tylko jeden sposób: wypełnić każdą chwilę dnia pracą, zabawą, myśleniem, czy choćby marzeniem o niebieskich migdałach. Bo i to jest potrzebne w życiu.

Zofja Popławska.

HALLO! HALLO!

NASTĘPNY NUMER

„ŚWIATA DZIEWCZĄT"

przyniesie: Zapamiętaj: Krzemieniec, O muzyce nowoczesnej, Latające dziewczęta — dalszy ciąg powieści, Nowela, Poradnia zawodowa, Morze ma słony smak, A teraz porozmawiamy i wiele innych ciekawych artykułów i feljetonów.

Warunki prenumeraty: roczne — zł. 12.—; półrocznie — zł 7.—; kwartalnie — zł 3.50; miesięcznie — zł. 1.30.
Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy szerokość 1 łamu 52 mm. 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł

OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ: Biuro Ogłoszeniowe Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87, tel. 244-18; Tow. Reklamy Międzynarodowej Sp. z ogr. odp. Marszałkowska 124; „PAT", Królewska 5; T. Pietraszek, Marszałkowska 115; Polska Agencja Publicystyczna, Marszałkowska 95; Międzynarod. Biuro Ogłoszeń, Senatorska 29; „Ruch" Wydz. Ogł., Poznańska 68; Jan Apte, Zielna 26; „Par", Bracka 17; „Merkury", Królewska 49; Kraków: „Par", Rynek 46; Cieszyn: Rudolf Pszczułka, Rynek; Katowice: „Par", Poprzeczna 8; Lwów: „Par", Akademicka 14; Łódź: Fuchs, Piotrkowska 50; Poznań: Polska Agencja Reklamowa „Par", 27-go Grudnia 10; Wilno: Biuro Jutana, Niemiecka 14; Gdańsk: „Devera", Kohlenmakt 10.

Redaktorka naczelna: Zofja Popławska.
Komitet Redakcyjny: Wanda Borudzka, Hanna Januszewska-Moszyńska i Zofja Miszewska.
Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ"

Redakcja i Administracja: Solec 87, tel. 244-18 i 787-03. Konto P. K. O. Nr. 18.800
Redaktorka przyjmuje we wtorki i czwartki od g. 6 do 7. Sekretarjat czynny: poniedziałki i środy od g. 14 do 16, piątki i soboty od 10 do 12.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.